N • 8 • 20 • II • 1932



ŚWIAT

Mistrzowski tercet w nowej komedji Wincentego Rapackiego p. t. „Wesoły wspólnik". M. Ćwiklińska, A. Fertner, J. Leszczyński

Fot. J. Malarski

HUMOR ZAGRANICZNY



— Wierzaj mi, kochanie, kobiety są większemi pacyfistkami od mężczyzn.

— Być może, ale im daleko trudniej rozbroić się.



— Co widzę? — Guzik. O, żeby mi tak jeszcze udało się znaleźć do niego marynarkę.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII **ŚWIAT** NR. 8

WARSZAWA, DNIA 20-go LUTEGO 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

W przededniu wznowienia „Don Carlosa" w teatrze Narodowym w Warszawie

Rola, jaką spuścizna literacka i dramatyczna Fryderyka Schillera odegrała w rozwoju umysłowości polskiej, nie jest dotychczas ściśle i dokładnie określona; posiadamy wprawdzie specjalne rozprawki a nawet obszerniejsze studja — Ed. Schnobricha (1885), Wit. Barewicza (1905), A. Skladnego i Wł. Lauberta (1905), Mar. Szyjkowskiego (1915), Br. Gubrynowicza (1916) — o wpływie twórcy „Don Carlosa" na literaturę polską, przedewszystkiem o udziale jego przy narodzinach tragedji romantycznej u nas, następnie o reminiscencjach, jakie dadzą się wykryć w poezji polskiej, głównie w twórczości Mickiewicza w okresie wileńskim i kowieńskim, ale brak nam do tej pory pełnego obrazu, w którym by przedstawiono jasno moc zapładniającą dzieł jego, niewygasającą w zupełności przez cały wiek XIX, w którymby uwydatniono należycie, jak to trzy conajmniej pokolenia u nas w młodości wielbiły i pielęgnowały ideały Schillera i w wielkiej mierze — powtarzam ich szczere wyznanie — dzięki temu nie wpadły w życiu późniejszem w oschłość, ani w sceptycyzm, ani w egoizm, ani w znikczemnienie... Cóż mówią o tem dzieje minione?

Zaprzeczyć nie można, że wypadki polityczne pod koniec XVIII stulecia nie usposabiały Polaków przychylnie dla wpływów niemieckich, wyrazem *deytcz* oznaczano — według świadectwa W. Bogusławskiego — coś ociężałego, nieprzyjemnego i musiały dopiero upłynąć po upadku Rzeczypospolitej lata, zanim płodom niemieckiego ducha poczęto otwierać coraz szerzej granice nasze. Jednakże nawet w czasach ostracyzmu istnieli przecież w Polsce jacyś zwolennicy literatury niemieckiej, kiedy Gröll w Warszawie, Grebel w Krakowie wydawali katalogi dzieł niemieckich, które posiadali na składzie, kiedy Bulla we Lwowie, Döbberlin w Warszawie i Poznaniu utrzymywali trupy niemieckie teatralne, a po nich w r. 1804 Bogusławski stworzył taką entrepryzę — i dzięki temu Schiller przemówił na ziemiach polskich ze sceny naprzód w swym ojczystym języku: w r. 1795 Döbberlin w Poznaniu wystawił „Zbójców", w r. 1805 „Dziewicę Orleańską", w tymże samym roku Bogusławski przybył tam ze swoją trupą niemiecką i na scenie ukazują się znów „Zbójcy", potem „Sprzysiężenie Fieska w Genui" i „Marja Stuart", tragedje napewno już poprzednio w Warszawie wystudjowane i przedstawione. Przypuścić także można, że nieliczna wprawdzie młodzież polska, studjująca podówczas w uniwersytetach niemieckich, musiała dać się porwać uwielbieniu, jakiem pałali jej koledzy dla bojownika swobody i obrońcy praw człowieka, podnoszącego potężny głos protestu przeciw tyranji społecznej i umysłowej — i choćby drobną cząstkę tego entuzjazmu po powrocie do kraju zaszczepiła rodakom, a sama przechowała w lata późniejsze. A wreszcie jeszcze szczegół drobny ale znamienny o rozmiłowaniu się w dziełach Schillera, jakie żywił jenerał Dąbrowski, któremu egzemplarz rozprawy o wojnie trzydzie-

stoletniej miał — według relacji J. G. Seumego — ocalić życie pod Trebbią czy Novi.

Zwrócenie się polskich pisarzy ku twórcom wielkiej poezji w Niemczech — a więc ku Schillerowi — dokonywało się w początkach wieku XIX powoli, miało wiele trudności do pokonania, przodownikami zaś na tem polu byli (około roku 1810) Andrzej Brodziński i Franciszek Wężyk, z których pierwszy przetłumaczył „Dziewicę Orleańską", a drugi w rozprawie „O poezji dramatycznej" śmiało głosił poglądy nowatorskie, a ponadto pisał dramat p. t. „Don Carlos", w którym obok Alfierego widoczny jest wpływ tragedji schillerowskiej. Dopiero jednak głośna książka pani de Staël „De l'Allemagne", z entuzjazmem prawiąca o literaturze niemieckiej, pobudziła i ośmieliła naszych pisarzy do żywszego zainteresowania się dziełami Goethego i Schillera, następnie do podjęcia dyskusji nad problemem romantyzmu; wielbiciele twórczości niemieckiej tworzyli hufiec obrońców nowego prądu, zwolennicy francuskich wzorów byli przedstawicielami literackiego *„ancien régime'u"*. Groddeck, Kaulfuss, Królikowski, Kazimierz Brodziński, Borowski, J. Śniadecki, Osiński — oto reprezentanci obu stron, walczących ostro i bezwzględnie, z jedynym prawie wyjątkiem śpiewaka „Wiesława", który zajmował stanowisko kompromisowe. Ale ta bezkrwawa walka teoretyków nie byłaby sprowadziła przełomu, gdyby nowatorom nie przyszedł z walną pomocą hufiec pisarzy, w których gronie znalazł się Adam Mickiewicz, odkrywający nieznane dotychczas szerokiemu ogółowi piękności poezji niemieckiej. Wcale poważna liczba przekładów z Schillera, które przed rokiem 1830 ukazały się w czasopismach, świadczy dowodnie o gorączce, z jaką rzucono się do tego źródła nowego w celu zaspokojenia pragnienia; rzecz zaś zrozumiała, że nie każdy podołał zadaniu, nierówne bowiem były uzdolnienia tłumaczów, u jednych pewien uszczerbek poniosła myśl oryginału, u drugich forma, ale wszyscy z J. N. Kamińskim, Brun. Kicińskim i J. D. Minasowiczem na czele nie zeszli poniżej pewnego poziomu poprawności i praca ich stanowiła dla mowy polskiej, zakrzepłej w formułkach sztuki pseudoklasycznej, doskonałe ćwiczenie, ożywiła i wzmocniła wiersz, uczyniła go bardziej giętkim i sprężystym.

Liryka schillerowska łatwo przemówiła do sentymentu polskiego, trudniej przyszło tragedjom wzruszyć widzów, wychowywanych w chaotycznem pomieszaniu pojęć i gustów; „Laharpowicze z nad Wisły" bronili się zacięcie przed inwazją nowatora, niezwykle groźnego dla pseudoklasyków. „Zbójców", przedstawionych po raz pierwszy na scenie polskiej w Warszawie 1803 roku, nazwała krytyka „potworem dramatycznym" i tragedja została pogrzebana; dopiero po latach piętnastu — to jest w r. 1818 — poczęto wcielać dzieła Schillerowskie do repertuaru teatrów warszawskiego i lwowskiego a mianowicie „Zbójców", „Fieska",



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA, AUTORKA NOWEGO POETYCKIEGO PRZEKŁADU „DON CARLOSA" Fot. W. Kirchner

„Intrygę i miłość", „Marję Stuart", „Oblubienicę z Messyny", „Dziewicę Orleańską". Krytyka warszawska pozostała nieprzejednana; nawet najwolnomyślniejszy z Ixów, Fr. Morawski, napisał w recenzji „Fieska", iż widać tu „obok geniuszu obłąkaną imaginację", a nieprzebłagani posługiwali się określeniami dosadniejszemi; tymczasem krytycy lwowscy, wychowankowie szkół niemieckich, śmiało występowali z pochwałami autora i wprost ganili dyrekcję teatru za opuszczenie kilku ustępów w „Marji Stuart", gdyż w Schillerze każda scena jest na swojem miejscu i nie jest niepotrzebna. A wspomnieć jeszcze należy, że niektóre dramaty, n. p. „Intrygę i miłość" grano w przekładzie dokonanym nie wprost z oryginału, lecz z francuskiej przeróbki Lamartelière'a z końca XVIII wieku. Nawet po wystawieniu w r. 1820 w Warszawie „Dziewicy Orleańskiej" nie doszło do zgody i obok nielicznego grona wielbicieli „przesadzonych" pozostało wielu niesprawiedliwych przyganiaczów Schillera i w dwa lata później „Gazeta Warszawska" podała skwapliwie za pismami niemieckiemi wiadomość, iż w „Ratysbonie schwytano szajkę złodziejską, złożoną z uczniów, a pisma publiczne twierdzą, iż czytanie złych książek, a zwłaszcza uczęszczanie na grywaną w teatrze sztukę Schillera „Rozbójnicy" skłoniło ich do utworzenia tej zbrodniczej bandy". I jakżeż ta notatka musiała rozradować Szaniawskiego, srogiego cenzora, który wraz z Nowosilcowem stał na straży moralności w społeczeństwie polskiem...

Jednakże poezja schillerowska, tchnąca wiarą w zwycięstwo idei dobra nad brutalną siłą zła, musiała zatryumfować — a mianowicie z chwilą, kiedy twórca „Ody do młodości" rozmiłował się w lekturze dzieł autora „Don Carlosa" i podjął poważne i pracowite studjum, ażeby „zgłębić piękności myśli oraz formy obcej a następnie przetopić je w ogniu natchnienia na pożytek własnego dzieła". W rozwoju twórczości Mickiewicza Schiller mocno zaważył, po gorącym kulcie młodzieńczym przyszło w wieku dojrzałym spokojne i trwałe uznanie, ujęte w doskonałej charakterystyce, wypowiedzianej przy oglądaniu ruin zamku w Eger, uwiecznionych w „Wallensteinie". „Szekspir — tak słowa Mickiewicza zanotował Odyniec w „Listach z podróży" — dojrzał najwięcej prawdy w sercach i dziejach ludzkich. Byron jest już dziś w prawdzie, tylko w prawdzie uczuć swoich. Goethe szuka prawdy rozumu, Schiller czuł ją częściej w natchnieniu. Wpływ Schillera na życie swego narodu większym jest dlatego, że przez serce działa więcej na młodzież, która to życie wyrabia..." W puściźnie mickiewiczowskiej z lat 1820—22 obok przekładów kilku drobnych wierszy zachowało się tłumaczenie fragmentu z aktu I „Don Carlosa", oparte na wydaniu pierwszem tragedji z r. 1787, z drobnemi zmianami w obrazowaniu, dążącemi w kierunku wzmocnienia efektu a wynikającemi z pobudek artystycznych; w całości przekład zasługuje na miano wzorowego i wiernego.

Z grona młodych przyjaciół mickiewiczowskich szerzyli kult Schillera z zapałem przedewszystkiem Odyniec i Korsak, do powagi wieszcza niemieckiego odwoływał się niejednokrotnie Kaz. Brodziński w

swoich wywodach estetycznych, z schillerowskiej rozprawy „O poezji naiwnej i sentymentalnej" oraz z „Listów o estetycznem wychowaniu człowieka" czerpał wiele myśli do swych artykułów Maurycy Mochnacki, a wśród głosicieli wolnomyślnych haseł, zawartych w dziełach autora „Fieska", znaleźli się prawie wszyscy bez wyjątku romantycy, zaś obok nich Andrzej Ed. Koźmian, syn zakamieniałego klasyka, który sprzeniewierzył się ideałom ojca. I na terenie warszawskim pozostało tylko nieliczne grono zaślepionych zwolenników arcydzieł tragedji francuskiej, występujące z zarzutami niemoralności w „Don Carlosie" i „Marji Stuart", w których to tragedjach są — ich zdaniem — sceny tak dalece przystojności ubliżające, iż „niktby ich dosłownie w pismach publicznych przytoczyć się nie poważył". Ostro zostało zaatakowane wznowienie „Intrygi i miłości" w nowym przekładzie Józefa Korzeniowskiego, który w swej późniejszej twórczości dramatycznej silnie ulegał wpływowi Schillera; uprzedzeni krytycy starali się wykazać, iż „Intrydze i miłości" brak istotnej tragicznej powagi, a pod adresem tłumacza padła złośliwa aluzja, iż chciał przewyższyć w wielkości wyrażenia samego Schillera.

Takich nieprzejednanych przeciwników, jak w Warszawie, nie miał autor „Zbójców" na gruncie lwowskim, gdzie na czele licznego koła wielbicieli stał J. N. Kamiński, zasłużony dyrektor teatru a przytem niestrudzony, jednakże niezbyt staranny tłumacz; dzięki niemu pojawiały się na scenie lwowskiej tragedje Schillera dość często, a w roku 1828 ukazał się po raz pierwszy na deskach teatrów polskich „Don Carlos", którego entuzjastyczną recenzję umieścił w „Rozmaitościach" Wacław z Oleska (Zaleski). Krytyka zainteresowała przedewszystkiem naczelna idea dzieła, które nazwał „pomnikiem najszczytniejszego pomysłu"; analizując treść, podniósł z naciskiem, że nieszczęśliwa miłość infanta nie stanowi wcale istoty dramatycznego węzła, lecz służy tylko za środek do wyższego pomysłu, w jakim dotąd jeszcze żadnego nie miał poeta poprzednika". I pod tym względem „Don Carlos" stoi — zdaniem Zaleskiego — „na dramatycznej wszystkich narodów niwie jako kwiat w swoim rodzaju jedyny; twórca tragedji, objąwszy swoim pomysłem cały rodzaj ludzki, przenosi interes na całą ludzkość, prawdy, które dotąd jedynie filozofji były własnością, prawdy, które każdemu świętemi być muszą, przenosi w krainę sztuk pięknych, rozgrzewa duchem poezji... Uszczęśliwienie całego rodzaju ludzkości — oto jest ten wielki pomysł!" Markiza Pozę uważa krytyk jako właściwego tej idei wyobraziciela; usterki, które można wytknąć budowie sztuki, nie dotykają wcale wewnętrznej wartości arcydzieła.

Z aktorów otrzymał zaszczytne wyróżnienie jedynie Kamiński, jako król Filip; „zawsze—są to słowa krytyka — on jako myślący artysta z chwałą przywdziewać będzie poważny Melpomeny koturn, jak tego Makbet a świeżo Filip dowodem". Benzie, jako Pozie, zarzucił recenzent brak godności, zwłaszcza w słynnej scenie z królem a Smochowskiemu — Don Carlosowi — niewłaściwy wybór roli. Przedstawienie przeciągnęło się prawie do północy, mimo to nikt nie opuścił teatru przed końcem — „loże nawet wytrzymały do końca — i to jest jeden laurowy listek więcej na grób nieśmiertelnego poety..."

Grano z tłumaczenia, dokonanego w trzech pierwszych aktach prozą, w dwóch ostatnich białym wierszem; była to zapewne praca Kamińskiego, który w tymże roku 1828 wydrukował w zbiorku p. t. „Przekłady i ulotne wiersze" fragment z tłumaczenia „Don Carlosa" a mianowicie z aktu pierwszego scena 1 — 2. Tutaj jeszcze nadmienię, iż przed Mickiewiczem i Kamińskim miał jeszcze tłumaczyć „Don Carlosa" Merlini w Wilnie (1801); następnie kolejno ukazywały się bądź w całości, bądź też w urywkach przekłady Boguckiego, Trentowskiego, Bujnickiego, Paszkowskiego, Podoleckiego, Budzyńskiego, Tomaszewicza, Goniewskiego, — niektóre z nich znamy jedynie z ogólnikowej relacji. Kiedy zaś na scenie warszawskiej w roku 1874 nakoniec wystawiono po raz pierwszy „Don Carlosa", użyto, niestety, nieudolnego tłumaczenia wierszem, dokonanego przez nieznanych nam F. S. i K. F.; było to przedstawienie benefisowe Heleny Modrzejewskiej, rozgłośnej już podówczas artystki, torującej z zapałem Schillerowi drogę na scenę warszawską, na której od lat blizko czterdziestu prawie niewidzianym był gościem. Krytycy ówcześni — a mianowicie F. H. Lewestam i W. Szymanowski — wystąpili z ostremi recenzjami, z aktorów wyróżnili pochwałami jedynie benefisantkę w roli księżniczki Eboli, Królikowskiego jako króla Filipa i Nowakowską jako królowę Elżbietę. A na tem miejscu stwierdzić jeszcze należy, że z nazwiskiem niezapomnianej Modrzejewskiej poniekąd związany jest renesans tragedyj schillerowskich na scenach polskich w trzech ostatnich lat dziesiątkach wieku ubiegłego; jej kreacja Marji Stuart była wprost nieprześcigniona. Śladami wielkiej tragiczki kroczyli następnie z jej zasłużonych kolegów i koleżanek przedewszystkiem Hoffmanowa w Krakowie, Królikowski i Ładnowski w Warszawie, z młodszej generacji Żelazowski i Woleński we Lwowie, przedewszystkiem znakomici odtwórcy głównych ról w „Zbójcach" i „Fiesku".

A teraz wracając do przerwanego wątku opowieści, t. j. do okresu około roku 1830, wspomnieć trzeba o sumiennych tłumaczach poezyj Schillera we Lwowie, A. Bielowskim, J. Borkowskim, L. Siemieńskim, W. Chłędowskim, z których ostatni był ponadto doskonałym znawcą pism filozoficznych autora „Wallensteina" i w ich duchu w rozprawach swoich, poświęconych rozpatrywaniu zasad romantycznej dramaturgji, głosił, że celem tragedji nie jest wygłaszać morały i nad uczuciami rozumować, ale przedstawiać żywy obraz ludzkich namiętności, życia i czynów według natury i prawdy. Lwów również szczycić się może pierwszą zbiorową edycją przekładów schillerowskich — a mianowicie w roku 1841 zebrał antologję A. Bielowski, poważny następnie badacz zamierzchłych dziejów Polski i we wstępnym życiorysie poety stwierdził, że „płody jego są dla Polaków jakby swojskie, że mocniej i powszechniej niż inne przylgnęły do nich, że genjusz mistrza zbliżał się ku Polsce, jak dobroczynna gwiazda, której promienie daleko pierwej świat rozwidniały, nim nad poziomem zajrzano krawędź ich wspaniałego ogniska... Nakoniec we Lwowie w r. 1844 wydał A. Gorczyński swoje tłumaczenia, a w czterdzieści lat później wydrukował dr. A. Zipper zbiorową w dwóch tomach edycję illustrowaną utworów poetyckich Schillera, dotychczas najkompletniejszą.

Szkicując dalszy pochód myśli schillerowskiej na gruncie polskim, wskazaćby należało, jaki to stosunek łączył Słowackiego i Krasińskiego z twórcą „Don Carlosa"; wystarczy poprzestać na stwierdzeniu, iż autor „Irydjona" wczytał się lepiej i głębiej w dzieła wieszcza niemieckiego, aniżeli autor „Balladyny", iż sam określał, że „Fiesko to radosny Irydjon, Iryd-

jon to smutny Fiesko". Następnie możnaby zastanowić się dłużej nad bezsprzecznym wpływem twórczości Schillera na Magnuszewskiego, Romanowskiego — nietylko jako liryka, lecz również dramaturga — Szujskiego i wielu innych; w tej dziedzinie zadanie wdzięczne ma do spełnienia historja literatury.

Oprócz tego nie wolno pominąć w milczeniu pracy, mającej za cel pogłębiać i rozszerzać w społeczeństwie polskiem znajomość piękna, zawartego w utworach schillerowskich; niewiele tem zajmowano się w rozprawach, traktujących o kulcie Schillera u nas, a przecież szereg głośnych nazwisk tutaj wymienić można, poczynając od Trentowskiego, autora „Chowanny", rozumującego, iż tragedja schillerowska ma być tym terenem, który zburzy zastarzałe u nas i dobrodusznie przyjęte obie formy i przygotuje grunt pod budowę nowego, narodowego gmachu sztuki. Z entuzjazmem o autorze „Don Carlosa" piszą E. Dembowski, R. Libelt, J. Kremer, A. Szabrański, E. Ziemięcka, K. Kaszewski, Wł. Spasowicz; pięknym zaś i wiele mówiącym wyrazem stosunku społeczeństwa polskiego do Schillera były dwa publiczne obchody jubileuszowe: w roku 1859 w setną rocznicę urodzin i w roku 1905 w setną rocznicę śmierci, z których pierwszy urządzono w Warszawie i przemawiał na nim J. I. Kraszewski, drugi zaś w Krakowie i głos zabierał Stan. Tarnowski. Autor „Miodu kasztelańskiego" składał hołd Schillerowi przedewszystkiem za to, iż „usta jego nie skalały się nigdy fałszem, serce nie sprzedało dla chleba, myśl nie skłamała świętemu powołaniu poety"; znakomity profesor Uniwersytetu jagiellońskiego wydał ponadto obszerne studjum o dramatach schillerowskich, przynoszące silny i dobrze umotywowany protest przeciw fanatykom nowej sztuki, którzy zrywając węzły tradycji, nawet genjuszów strącają z piedestału...

I dzisiaj jeszcze walory poezji Schillera są wielkie — i dzisiaj nie wolno nam zapomnieć, iż jej w wielkiej mierze zawdzięczamy, że pierwiastek idealistyczny w literaturze polskiej tak silnie wybujał, że literatura nasza działała tak pokrzepiająco, że ułatwiała nam życie wśród ciężkich i nadwyraz trudnych warunków. Że dzisiaj jeszcze znajdą się wielbiciele prawdziwego piękna, którzy odczują szczerze poetyczne tchnienie zapału w „Don Carlosie" — o tem ani chwili nie wątpię.

Bronisław Gubrynowicz

Dziesięciolecie pontyfikatu Piusa XI

Dnia 11 Lutego rb. świat katolicki uroczyście obchodził dziesięciolecie pontyfikatu Piusa XI. Papież ten powszechnie znany jest, jako wybitny historyk i literat. Ogłosił dzieła nietylko na tematy, związane z historją kościoła. Dał cały szereg cennych studjów, jak „Satyry Juvenala", „O manuskrypcie dzieł Wirgiljusza", „O początkach rodziny Sabaudzkiej".



PIUS XI

Pius XI w Rzymie jest uważany, jako „il Pappa polacco". Nie kryje się bowiem ze swemi sympatjami do naszego narodu. Poznał Polskę podczas kilkoletniej nuncjatury. Współżył wtedy z naszemi nadziejami i troskami. Zaskarbił sobie trwałe uczucia. Zdobył sobie nasze serca i dużą odwagą cywilną. Był jedynym prawie dyplomatą, który nie ulákł się nawały bolszewickiej w r. 1920. Mężnie trwał na stanowisku, wspomagając moralnie nasze dzielne i ofiarne wojsko. Podczas okupacji niemieckiej przyczyniał się do łagodzenia twardych zarządzeń militarnych Beselera. Wyróżniał się wogóle swoją mądrą wnikliwością w sprawy, jakie wtedy jątrzyły się w naszem społeczeństwie, utrzymując równowagę i takt w stosunku do zwalczających się orjentacji.

Wybór Piusa XI społeczeństwo polskie przywitało z radością. Dziesięciolecie pontyfikatu tego światłego Papieża przysporzyło glorji Kościołowi. Za Jego bowiem władania stolicą Piotrową podpisał Watykan siedem konkordatów, z których najważniejszy dotyczy nowego układu stosunku między Kościołem a państwem włoskiem. Pius XI dużo sił włożył w sprawy misyjne i organizacje Akcji Katolickiej. Należy przypomnieć, iż nuncjusz Achilles Ratti w Warszawie otrzymał sakrę biskupią.

Dziesięciolecie swego pontyfikatu Pius XI poświęcił modłom o pokój. Uroczystą mszę, celebrowaną przez papieża w bazylice św. Piotra, nadano przez radjo.



TYDZIEŃ ŚWIATA

(R.) Zatarg japońsko-chiński o Mandżurję wywołał w prasie rosyjskiej, emigracyjnej, znamienną dyskusję: który z tych dwóch narodów jest niebezpieczniejszy dla przyszłych interesów wielkiej Rosji?! Zdawałoby się, iż rosjanie, mając niedawne porachunki ze zwycięskimi japończykami, winni się przechylić w stronę Chin. Nic podobnego! Interes państwowy każe im brać pod uwagę tylko fakty. Uważają oni, że powinni popierać właśnie japończyków, jako gwarantów względnego spokoju na Wschodzie. Tyle język prasy emigracyjnej! Za temi gwarancjami kryje się jednak rachunek zgoła inny, ciekawy dla postronnego obserwatora. Rosyjscy politycy uważają, iż japończycy nie są tak groźni dla ich ekspansji na Wschodzie, jak Chińczycy. Japończyk źle aklimatyzuje się w Mandżurji. Chińczycy natomiast jako materjał kolonizacyjny są bez konkurencji. Na wypadek zwycięstwa Chin, Rosja musiałaby się pożegnać zupełnie z marzeniami o Pacyfiku.

W materji tej niedawno ukazała się źródłowa, obszerna książka A. P. Demidowa p. t. „Współczesne Chiny i Rosja". Wydana została w New-Yorku i reprezentuje ona nadzwyczaj skrupulatne, rzeczowe i sumienne studja nad stosunkami,

jakie wytworzyły się po wielkiej wojnie europejskiej na Dalekim Wschodzie. A. P. Demidow rozmyślania swoje zamknął w twierdzeniu:

„W chwili obecnej interesy Rosji niebolszewickiej oraz interesy Japonji całkowicie pokrywają się".

Ten punkt widzenia jest nowością dla wszystkich, interesujących się polityką rosyjską na Dalekim Wschodzie.

. . . .

(A.) Pisma szwajcarskie komunikują fantastyczne wieści. Piwnice banków przepełnione są tu złotem. Szwajcarski rynek pieniężny jest tak przesycony, że banki nie przyjmują już wkładów od osób, nie mieszkających stale w tem państwie związkowem. Jeżeli ktoś z cudzoziemców chce zdeponować pieniądze, musi płacić za przechowanie. Szwajcarzy otrzymują od swych kapitałów tylko 3%.

I pomyśleć, istnieją kraje cierpiące na brak kredytów, gotówki, gdy w państwie szwajcarskiem leżą bezużyteczne miljony! Rząd szwajcarski uniemożliwia przytem kapitalistom obcym inwestowanie pieniędzy w przedsiębiorstwa tutejsze, zabrania zakładania fabryk. Cudzoziemiec może mieszkać obecnie w Szwajcarji, jako turysta lub człowiek chory. Ostre te zarządzenia zostały wydane w związku z uchodźtwem kapitałów niemieckich, austrjackich i węgierskich, szukających tu zabezpieczenia złotego przed deprecjacją.

. . . .

(E.) Postacią Gandhiego interesują się u nas ludzie światli. Ideały jego budzą sympatyczny odzew. Warto jednak posłuchać, jak na zagadnienie indyjskie patrzą uczeni. Niedawno w prasie francuskiej zamieszczono w tej sprawie charakterystyczny głos znakomitego ekonomisty prof. Karola Gide'a. Rozmawiał on z Gandhim podczas pobytu mahatmy w Paryżu. Była to jednak rozmowa towarzyska, bez żadnego znaczenia. Czemu? Prof. Gide mówi:

„Przyszedłem, aby właściwie pomówić z Gandhim. Ale o czem tu mówić ze świętym? Gdybym mógł mówić śmiało i otwarcie, miałbym dużo do powiedzenia. Zapytałbym Gandhiego, jak wyobraża sobie przyszłość Indyj, gdy, zgodnie z jego żądaniem, anglicy wycofają z kraju całą administrację cywilną i wojskową? Zapytałbym go również, w jaki sposób młoda republika pozbędzie się kilku setek despotycznych książąt, którzy nie

NOWY KOMISARZ POLSKI W GDAŃSKU



P. KAZIMIERZ PAPPÉ, NOWOMIANOWANY KOMISARZ RZPLITEJ POLSKIEJ W GDAŃSKU

mają zamiaru abdykować ze swej władzy i przywilejów, a w chwili ewakuacji Anglików byliby jedynymi w kraju dysponentami i posiadaczami siły zbrojnej, oraz pieniędzy? Zapytałbym go też, jak wyobraża sobie zastosowanie deklaracji praw człowieka i obywatela w kraju, w którym 70 miljonów ludzi uważanych jest za parjasów, niegodnych dotknięcia przez prawowiernego Hindusa? Zapytałbym go dalej, jak wyobraża sobie możliwość zjednoczenia Indyj, rozczłonkowanych i skłóconych bardziej od dzisiejszej Europy, posiadających dziesiątki ras, narodowości, wyznań i sekt wrogich sobie? Zapytałbym go, czy nie obawia się losu Chin dla Indyj, groźby głodu, anarchji i wojny domowej? Zapytałbym, kto będzie dbał o zaspokojenie potrzeb nieprzeliczonych mas ludności z chwilą, gdy wszyscy pójdą za jego przykładem i siądą przy kołowrotku?"

Sądzimy, że pytania prof. K. Gide'a zawierają wiele ważnych i poważnych zagadnień. Nie uświadamiają sobie ich nawet ludzie skądinąd trzeźwi i rzeczowo patrzący na świat.

. . . .

(B.) Bezrobocie na Górnym Śląsku daje się boleśnie we znaki zredukowanym pracownikom. Szukają oni pomocy po różnych komitetach, chwytają się jednak i pracy na własną rękę. Jak to czynią? W „Polonji" katowickiej czytamy:

Bez dyrektorów i sztygarów połączyli się bezrobotni górnicy w grupy po 3—7 i rozpoczęli budować *„własne kopalnie"*. Niemal w każdej miejscowości istnieje kilkadziesiąt takich nieobjętych żadną statystyką „kopalń". Wydobywają z nich węgiel w dużych ilościach i sprzedają, gdzie się da.

„Kopalnie" te przezwane są przez górników „bieda — szyby".

Tonna węgla, sprzedawana przez bezrobotnych, kosztuje 24 zł. Kopalnie liczą za ten sam gatunek 41 zł.

. . . .

(A.). Jeden z najruchliwszych dzienników warszawskich zainicjował wśród literatów ankietę, kto winien dostać w tym roku państwową nagrodę literacką. Różnica zdań wśród braci piszącej okazuje się znaczna. Najwięcej dotychczas głosów otrzymał Boy - Żeleński; przemawiają za nim W. Rzymowski, J. Tuwin, W. Rogowicz i A. Słonimski, którzy poza tym żadnego innego kandydata nie widzą. Sporo zwolenników ma autorka najnowszej powieści „Bogumił i Barbara", p. Marja Dąbrowska; głosują na nią: Staff, Irzykowski, Kuncewiczowa. Zresztą mają oni też innych faworytów: J. Wołoszynowskiego, Berenta, Parandowskiego, Kaz. Wierzyńskiego. P. Stefan Kiedrzyński poważnie motywuje prawa do nagrody tegorocznego jubilata J. Weyssenhoffa, ewentualnie Ferdynanda Ossendowskiego. Wreszcie Wacław Grubiński poleca Kazimierza Wroczyńskiego, a Kazimierz Wroczyński wysuwa na pierwsze miejsce kandydaturę Grubińskiego. Ankieta trwa.

. . . .

(F.) Kwestja polskości J. Conrada budzi wciąż kontrowersje wśród miłośników twórczości autora „Fantazji Almayera". Niedawno opowiedziała nam swoje wrażenia p. Karola Zagórska p. t. „Pod dachem Konrada Korzeniowskiego". Obecnie znów dr. Kazimierz Górski w „Przeglądzie wołyńskim" pisze, iż:

„Conrad przy schyłku swego życia był już tylko z pochodzenia Polakiem. W piersi jego, kiedym go poznał, nie biło już serce polskie".

„W zrozumienie kwestji polskiej na forum ówczesnej Europy Conrad nie wierzył. Stotrzydziestoletnia niewola Polski odzwyczaiła ludy Europy Zachodniej od liczenia się z Polską i potrzebą Jej odbudowy".

Uogólnienia te zrobił dr. Kazimierz Górski po rozmowach ze znakomitym pisarzem w r. 1914 w Zakopanem po wybuchu wojny europejskiej. Conrad dzięki pomocy amerykańskiej wydostał się z granic Austrji. Wobec spraw polskich, które wtedy wysunęła na forum dziejowe wojna, zachował się biernie a nawet nieufnie.

Notujemy i ten głos w sprawie polskości J. Conrada, choć zdaniem naszem niczego on nie przesądza. Mieliśmy bowiem i wśród nas ludzi zbyt trzeźwych i niewierzących, a jednak nie możemy im zaprzeczyć polskości.

. . . .

Kryzys robi swoje. Ceny produktów i fabrykatów spadają. Trzymają się na dawnych wysokościach tylko ceny tych produktów, które dostarcza państwo. Nie zmniejszają się świadczenia społeczne, tak niewspółmierne z położeniem finansowem kraju, zwiększają się wciąż ciężary podatkowe.

Konstatując te dysproporcje, „Il. Kurjer Krak." stwierdza rezultaty:

Gdy państwo śrubuje nadmiernie cła, dochody skarbowe z tego źródła redukują się katastrofalnie.

Gdy podwyższają się taryfy kolejowe, pociągi chodzą puste, a przewóz dokonywa się przy pomocy samochodów i koni.

Wygórowane ceny fabrykatów monopolowych sprawiają, że coraz rozszerza się sieć potajemnych gorzelni, wytwarzających samogonkę, że w ogrodach hoduje się tytoń na użytek prywatny, że zapałki zastępuje się staremi surogatami.

Wygórowane podatki powodują zaległości, które wynoszą dziś około $1\frac{1}{2}$ miljarda złotych.

Kontrabanda zwiększa się, niedługo zaś dojdzie do tego, że będą przemycali z zagranicy cukier, wyprodukowany w Polsce z polskich buraków, a sprzedawany zagranicą po cenie o wiele niższej, niż w kraju.

Zła to gospodarka, gdy łata się dziury, robiąc nowe, większe...

. . . .

(Old.). Podobno kobiety mają więcej zmysłu organizacyjnego od mężczyzn. To też w krótkim czasie powstały związki kobiece dla wywalczenia równouprawnienia społecznego, politycznego i cywilnego, dla obrony interesów zawodowych szwaczek, modystek, sklepowych, telefonistek, biuralistek, nauczycielek i t. p. Nie było tylko organizacji najliczniejszej grupy pracujących kobiet: gospodyń. Lukę tę wypełnił powstały niedawno Związek Pań Domu. Wziął się on raźno do roboty: zwołuje zjazdy, urządza odczyty, bada nowe wynalazki w dziedzinie gospodarstwa domowego, udziela praktycznych rad, sporządza przepisy, szerzy wiadomości o racjonalnem urządzeniu mieszkania i kuchni, słowem, stara się wpłynąć na udoskonalenie naszego codziennego życia. Obecnie zainicjował konkurs na dwa referaty: 1) o unormowaniu godzin posiłków w domach rodzinnych miejskich i 2) o współpracy domowników i dzieci w gospodarstwie domowem.

Zwłaszcza pierwsze zagadnienie ma wielkie znaczenie społeczne i gospodarcze. Pod względem spożywania głównego posiłku, przerywania i kończenia pracy panuje u nas zupełna anarchja. W każdej rodzinie obiad jest o innej porze, w wielu ojciec go jada osobno, dzieci dorosłe osobno, młodzież szkolna jeszcze inaczej. Ile się na to traci niepotrzebnego czasu, energji, fatygi, opału i pieniędzy—nikt nie zliczy.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Francuska Izba Deputowanych uchwaliła 322 głosami przeciwko 4 przy nieobecności całej lewicy zmianę ordynacji wyborczej, nadając prawa wyborcze kobietom i uznając większość względną (powyżej 25%) za dostateczną do wyboru.

Gabinet Lavala podał się do dymisji po odrzuceniu przez Senat wniosku formalnego, popieranego przed rząd. Jest to rewanżem lewicy za uchwałę Izby o ordynacji wyborczej.

Hindenburg zgodził się kandydować z ramienia komitetu bezpartyjnego, którego przewodniczy prezydent Berlina Sahm.

Papież przyjął Mussoliniego na godzinnem posłuchaniu.

Na posiedzeniu Rady Ligi Narodów odbył się trzygodzinny djalog między przedstawicielami Niemiec i Litwy w sprawie Kłajpedy. Referentem został norweg Colban.

Na konferencji rozbrojeniowej odbywa się wciąż debata generalna, w której przemawiają kolejno przedstawiciele wszystkich państw.

Rada Ligi Narodów zwróciła się do Japonji o zaprzestanie działań wojennych i odroczyła decyzję co do zwołania zgromadzenia nadzwyczajnego Ligi.

Min. Zaleski zgłosił drugie memorandum w sprawie rozbrojenia moralnego, rozwijające tezy poprzedniego.

CO CZYTAĆ?

Marja Dąbrowska wydała drugą część swojej kroniki życia Bogumiła i Barbary Niechciców p. t. „Wieczne zmartwienie". Pierwszy tom wywołał duże zainteresowanie tą powieścią. Bytowanie na wsi skromnego dzierżawcy Serbinowa w wizji beletrystycznej autorki wyrasta na swoisty obraz obyczajowo-rodzajowy ze schyłku ubiegłego stulecia. Marja Dąbrowska maluje życie powszednie z codziennemi kłopotami, troskami na małym odcinku rzeczywistości, bo tylko na przestrzeni prawie domu mieszkalnego Niechciców, a jednak potrafi zmieścić tu wiele uczuć i odczuć ogólnych, typowych dla tego gatunku ziemiańskich, popowstaniowych rodzin. Jej opowieść unika jakgdyby większych, mocniejszych splotów i kontrowersji życiowych. Przesycona jest cudownym spokojem, powagą, radością wiejskiego trwania. Szczególnie Bogumił reprezentuje ten przyrodzony stosunek do rzeczywistości. Współżyje on podświadomie z radościami i smętkami ziemi, którą orze i zasiewa. Umie upoić się wiatrem i oszołomić słońcem, jak winem. Nie szuka on przyczyn i celowości swego istnienia. Jest samym, niewyrozumowanym, odwiecznym bytem. Czyni, co robi życie. Żona jego Barbara przechodzi natomiast przez wieczne utrapienia, niehumory, nie może się zespolić z życiem dzierżawczyni z Serbinowa. Są to jednak drobne, przelotne troski. Obowiązki wkręciły jej istnienie w swoje tryby. Niewiele ma czasu nawet na czytanie. Gospodarstwo, troje dzieci zajmują jej dzień od rana do wieczora, a i w nocy nie jest wolna od opieki nad ładem i bezpieczeństwem otoczenia.

„Wieczne zmartwienie" jako fabuła powieściowa przynosi niewiele wątku beletrystycznego. Marja Dąbrowska umiała jednak cały, obszerny tom wypełnić treścią, godną podziwu dla prawdy życiowo-rodzajowej. Jej opisy drobnych spraw życia dzierżawcy budzą zaciekawienie dla konkretności rysunku i soczystości kolorytu. Przekonywująco również opisuje ona chorobę serca Barbary.

Drugi tom „Nocy i Dni" opowiada czytelnikom wydarzenia prawie potoczne: zmiana nauczycielek, śmierć dalekiego obojętnego Joachima, dziedziczenie po nim sześciu tysięcy rubli, zakup placów w Kalińcu, oddanie na pensję starszej córki Agnisi, przedłużenie kontraktu z pełnomocnikiem właścicielki Serbinowa, dwa wyjazdy do sąsiedniego miasta — to byłyby największe fakty w ich życiu pracowitem, uczciwem, wypełnionem po brzegi utrapieniami i radościami codziennej egzystencji. Opowieść ta płynie wartko, niby drobny, czysty, polny strumyk. Zainteresowuje nawet najdrobniejszemi szczegółami, a to dlatego, iż Marja Dąbrowska obraca się w świecie poznanym przez siebie do gruntu, ukochanym, jak wspomnienie dzieciństwa. Powieść jej jest lekturą poważną o ambicjach literackich, godnych uznania i szacunku.

Jan Brzękowski, młody zdolny dziennikarz, poeta, reformator, napisał powieść reportażowo-montażową p. t. „Bankructwo profesora Muellera". Nie należy doszukiwać się w tej książce zwykłych walorów beletrystycznych. Autor bowiem celowo omija wszystkie tradycyjne reguły. Przygody Ingeborgi Held, pretendentki do tronu, Gwidona Muellera, profesora ekonomji politycznej, dr. Józefa Strumienia, bakterjologja oraz Larsena Lupina, księcia-detektywa, snują się żywo i mogą zaciekawić miłośników, szukających nowych kierunków w beletrystyce.

E. C.

Znakomity artysta-malarz, prof. Karol Frycz z przeżyć swoich na Dalekim Wschodzie kreśli wzruszającą opowieść o Mister Kwangu, nieszczęśliwym chińczyku z Szanghaju. Opowieść ta niewątpliwie zainteresuje naszych czytelników tak tematem, jak i świetnem piórem K. Frycza.

Maitre d'Hôtel z Szanghaju

(Z niewydanej książki)

Mój przyjaciel Mr. Kwan zajmuje skromne lecz odpowiedzialne stanowisko zarządcy w hotelowej restauracji na terenie francuskiej „koncesji" w Szanghaju. Dowodzi sprawnie całą armją służby lotnej i bezszelestnej, nie podnosząc nigdy głosu, a właściciele hotelu pokładają pełne zaufanie w jego wypróbowanej sumienności.

Na przedostatniej wszechświatowej wystawie paryskiej reprezentował u stóp wieży Eiffla — podobno nader godnie — i chińską herbatę i chińskie jedwabie, a przedewszystkiem chińską uprzejmość.

Przywiózł „z za siedmiu oceanów" dla firmy, którą zastępował, dyplom honorowy, pełen na pół obnażonych figur kobiecych, których znaczenia na tym cennym dokumencie nigdy nie mógł zrozumieć, i brązowy medal z wizerunkiem Trzeciej Republiki, damy dekoltowanej we frygijskiej czapce.

Mr. Kwan jest, nawet jak na Chiny, najuprzejmiejszym człowiekiem, jakiego oczy moje kiedykolwiek oglądały.

Zdawkowe u innych: „Toujours à votre service" — nie bywa czczym frazesem w jego ustach. Na spojrzenie gościa podbiega raczej, niż podchodzi, robiąc to bez uniżoności, lubo z usłużnością tak bardzo, tak szczerze pragnącą klijentom dogodzić, iż starczy nieraz za spełnienie całkiem niewykonalnego życzenia. Chciałoby się np. Zosi jagódek, gdyż objęta hotelowym rygorem porcja bywa skromna; niestety, zjedzone już doszczętnie. Mr. Kwan umie zawód opromienić takim ciepłym, serdecznym, zapewniającym o najlepszych chęciach uśmiechem, iż wierzy się święcie, że nieba radby przychylić i natrząść zeń truskawek. Jak na klasycznego Chińczyka przystało, Kwan jest żonaty i dzietny. Szczęsny los obdarzył go potomstwem z potrójnego łoża; ma trzy pokolenia dzieci, w tak zw. „sile", w kwiecie i w dziecięcym — wieku.

Ten ostatni gatunek polubiłem bardzo. Najmłodsza para, dziewczątko imieniem: „Polny Groszek", zwana też „Fasolką", i „Szóstek", (szósty z rzędu syn) są bliźniętami. Ładne, wesołe, przychlebne i starannie utrzymane dzieciaki zżyły i zaprzyjaźniły się ze mną wkrótce. Przepisy hotelowe nie pozwalają, by rodziny personelu służbowego nawiedzały gości. Ale za moją instancją, malcy miały wyjątkowy przywilej zaglądania do mego pokoju w charakterze modeli, a jazda windą na ósme piętro i puszczanie z tej wysokości naprawdę „bajecznie" kolorowych latawców z komecim ogonem było dla nich gratką nielada.

Mr. Kwan oddawał mi nieocenione usługi jako tłumacz, nietylko w zawikłanych sprawach codziennego życia, ale i w teatrze. Przepadał za teatrem, jak każdy rodowity Chińczyk, tylko, że widowisko uznawał za zupełnie udane, o ile mu towarzyszyła rodzina.

Teatr chiński nie zna sztuk, — jak niegdyś w Europie bywało — „dla panien"; tem mniej — dla dzieci. Ale scena chińska, jak u nas kazalnica, jest stałą trampoliną wielostronnego morału, z którego obfitości każdy tyle sobie może przyswoić, ile zrozumie. Klapę bezpieczeństwa, chroniącą przed przemoralnieniem i zanudzeniem widza na śmierć, stanowią dwie okoliczności: najpierw, że w myśl przysłowia, iż cel uświęca środki, ideowy morał finału nie krępuje znacznej swobody treści; a po drugie, że nikt nigdy nie rozumie dosłownie wszystkiego, co się mówi na scenie w czasie wielogodzinnego przedstawienia.

Dziecko chińskie przy piersi matczynej oswaja się już z teatrem; później bywa w nim tak często, jak na to środki i hojność rodzicielska pozwoli.

Krwiożercze walki wojowników, zachłanne na małżeńskie szczęście nierządnice o wykwintnych formach panny z dobrego domu, sceny miłosne lub sprośno-komiczne, nie demoralizują tu dziecka, lecz oswajają ze wszystkiem co ludzkie. A jeżeli nie uśnie przed końcem spektaklu, dowie się, że wszelkie zło będzie w ostatnim akcie pokarane. Fasolka i Szóstek często wystawiali czarne łebki z loży, jak pisklęta z jaskółczego gniazda. Objadali się smażonem w cukrze nasieniem dyni, wytrzeszczali skośne oczęta, jakby niemi chcieli pożreć scenę, śledząc równie dla nich, jak dla mnie niezrozumiałe perypetje i wpatrywali się cierpliwie godzinami w migotliwe korowody barwnych szat, w susy, skoki i łamańce aktorów. Niekiedy, w ciągu siedmiogodzinnego przedstawienia, sen morzył bliźniaczą parę w objęciach rodzicieli. Mr Kwan siedział wtedy nieruchomo, jak dwuramienny fotel, choć mu ręce i nogi cierpły.

*

Po paromiesięcznej nieobecności wróciłem do hotelu i znalazłem się znów w kręgu atmosfery, przepełnionej pieczołowitą uprzejmością Kwan'a. Siedziałem nad owsianką w sali jadalnej. Kwan kręcił się, jak zwykle, wśród tłumu służby i skinieniem bardziej, niż głosem, mrugnięciem więcej, niż skinieniem, sprawował rządy dusz i czuwał nad żołądkami. Rzuciłem na niego przelotne spojrzenie i nagle uderzyło mnie coś, czego nigdy pierwej nie zauważyłem.

Kiedy podbiegał do klijenta, rozpromieniała mu się twarz tym samym, co dawniej, dobrze mi znanym uśmiechem łagodnym i ciepłym, który „rozświetla od wewnątrz rysy człowieka, jak płomień powłokę tłustego lampionu"; uśmiechem, z jakim „syn winien przemawiać do ojca, uczeń do nauczyciela, brat młodszy — do starszego, gospodarz — do gościa".

Ale kiedy odwracał się po skończonej rozmowie, to pełne zazwyczaj dziecinnej pogody oblicze krzepło w martwą maskę z wyrazem beznadziejnego smutku; oczy błądziły po sali jakby nieobecne, a gdy go ktoś zagadnął, zdawał się budzić ze snu na jawie.

— Że ja też nigdy nie zauważyłem tej zadziwiającej transformacji — mówiłem sobie w duchu, tracąc zaufanie do własnych zdolności obserwacyjnych.

Najazd amerykańskich „congressman'ów", podejmowanych przez polityczne Chiny co najmniej jakby uprawomocnioną delegację „nadpaństwa", rozstrzygającego wszechsprawy tego świata i związane z tem fety i przyjęcia, pochłaniały z urzędu Mr. Kwana, a ja w nawale obowiązkowych zajęć nie mogłem także znaleźć sposobnej chwili, by go zapytać o jego

parkę „głuptasków" — mes petits bètes — jak przez chińską ceremonialną skromność zwykł był swych Benjaminów nazywać. Zwróciło tylko moją uwagę, że parokrotnie wymówił się od zaproszenia do teatru, mimo, iż dawano bardzo świetny i bardzo reklamowany spektakl. Po upływie zaś tygodnia upewniłem się co do dwóch rzeczy, a mianowicie: że w nasze dość zażyłe stosunki wkradł się najwidoczniej pewien chłód; oraz że — choć ścisły rachunek sumienia nie wytykał mi żadnej zgoła przewiny — Mr. Kwan, poza całą grzecznością obowiązkową i służbową czujnością, stanowczo mnie unika.

Nadeszło dżdżyste i upalne zarazem lato, gorące dnie i dławiące mokrym zaduchem noce, tak trudne do zniesienia dla Europejczyka. Ze schyłkiem dnia skojarzyło się wspomnienie cienistej alei platanów nad rzeką, gdzie człowiek północy z nałogu a nadaremno szuka o zachodzie odrobiny chłodu.

Malaryczne wody Wam-pu, rozlane wszerz w nieruchliwe morze, toczą się gdzieś w głębi ku ujściu skrytym, opieszałym nurtem, szkląca zaś ich powierzchnia drga gnuśnie w miejscu gęstym aljażem płynnej miedzi i gasnącego szkarłatu.

Pomarańczowe zorze, nasycone na zapas niestygnącym warem dnia, osuwają się do wody, jakby chciały rozżarzyć wnętrze rzeki, zanurzając w głębinie szeroko rozsnute smugi swej rudej pożogi. Ciepłe łono okrajnych, zastałych moczarów, nie tknięte przypływem, mieni się błękitną zielenią kantarydy i tuli bujne hodowle moskitów. Tłuste, złote oczy posłonecznych blasków mrugają na płaskim grzbiecie ospałej fali, jak lusterka, rozsiane po smoczych kadłubach mięsistych makat chińskich. Rzekłbyś, że i na mrocznem dnie wyleguje się w wygrzanej łaźni z piasku ziejący żarem smok, patron lata upalnego, i po przez warstwę wód ciepłem łuszczastego cielska grzeje znękany i spotniały świat.

Czujne dżonki zdają się omijać smocze legowisko i z lekkością wodnego pająka przemykają się brzegiem cichej, wygasłej, sino-fijoletowej głębi. W miarę jak mrok zapada, lądują na noc szczury wodne z oślizgłym włosem; drapią się zwinnie po karkołomnym nasypie z „kocich łbów", wlokąc ociekające kroplami, łyse ogony i zgrabnie wymijają czarne dziury, tajemnicze siedziby skorpionów. Potrącają bez ceremonji ogromne, flegmatyczne, opuchłe ropuchy złotookie, dyszące z fatygi i gorąca, co z otwartą, aż po krwawe wnętrzności, paszczą, żerują „na wychodnego". Z zielonego sklepienia spływa ulewa dźwięcznego szelestu, do śpiewu chińskiej cytry zbliżona, rozgłośna muzyka świerszczy i jakby rytmiczny klekot kastanietów, kunsztownie sharmonizowany z jękliwem kukaniem — conocny koncert drzewnych jaszczurek. Po przez spękaną korę pni i nieszczelną pochwę łodyg wioną odurzające, pieprzne i ostre aromaty roślinnej miazgi, tuczonej nadmiernie posilną wilgocią ziemi. Podzwrotnikowe krzewy nadrzecznych plantacji — goście o bezwonnem kwieciu, zaaklimatyzowani na strzyżonym dywanie bezrosych trawników — chłoną płócami żylastych liści skąpy tlen; a wydychając gęste korzenne wyziewy, napełniają makadam szpalerów i rozmiękłe asfalty alei wonią przyprażonej słońcem dżungli.

Tylko zamiast fosforycznej zieleni lamparcich ślepiów, miga wskroś gałęzi szklany grynszpan oczu motorowych łodzi, prujących noc dalekosiężnem nagłem spojrzeniem świetlnego sygnału, a świerszczową orkiestrę głuszy nie chóralna, bezkresna pieśń puszczy, lecz pawie wrzaski okrętowych syren.

*

Usiadłem w pustej łodzi, na dnie której chrapał kulis przewoźnik. Okrężnym ruchem przesunął się nagle wpoprzek wybrzeża rażący promień portowych reflektorów, płosząc ułudą świtu roje nietoperzy. Blask łukowych lamp, dookoła których olbrzymie wieloskrzydłe ćmy kosmate zataczały powietrzne balety, wykroił w ciemni platanów szmaragdowe prześwity, a nie mogąc przebić nawylot liściastej gęstwy, spłynął na wodę nikłą jasnością. Ale po drodze oświetlił teatralnie nieruchomą postać ludzką, wspartą o kamienną balustradę.

Był to uprzejmy Kwan. Stał, bezmyślnie wpatrzony w ostatni, ledwo dostrzegalny na skłonie horyzontu poblask zachodu.

Pół twarzy ginęło w zupełnym cieniu; drugie pół rzeźbiło światło latarni, a unieruchomił wyraz bezbrzeżnego cierpienia. Chciałem go wyminąć. Los, który tak chętnie krzyżuje kroki ludzkie, sprawił, iż na szelest moich, obrócił się i stanęliśmy naprzeciw siebie.

— Oh! Mr. Kwan! — udaję zdziwienie. — Co pan tu porabia sam o tej porze; jakże się miewa mój miły Groszek Polny i kochany Szóstek?

Kwan cofa się o krok, zaciskając powieki i wargi, jakby miał syknąć z bólu. I w tej chwili nałogowy uśmiech maître d'hôtel'a, „uśmiech brata młodszego", bohaterski uśmiech wschodu przebiega mu całą twarz grymasem japońskiej maski; ale nim zdążył się ulotnić, a usta wymamrotały — „toujours à votre service" — dwie pełne łzy spłynęły po uśmiechniętych policzkach. I zaraz w najuprzejmiejszym tonie konwersacyjnym dyskretna informacja:

— Pomarli.

Długa chwila ciszy tak ciężkiej, jakby zawisł nad nami cały par tej nocy, wszystkich dusznych nocy tego złego lata. Nie słychać nawet świerszczy, nawet falsetu mustyków.

— Mes petits bètes... morts. Obydwa jednego dnia.

Potem, głosem równym, spokojna opowieść. Umarli na grypę. — Był doktór chiński, zapisał lekarstwo, wziął trzy dolary; był doktór europejski, wziął sześć dolarów, zapisał lekarstwo.

— Były zawsze dotąd zdrowe, zawsze wesołe, rumiane, moje Głuptaski. Ważyły po czterdzieści kilo.

— A w trzy dni już ich nie było. Dlatego mam już życie zatrute; dlatego nie mogłem iść z panem do teatru, dlatego teraz: toujour triste, toujour pleurer. Nie dbałem o pieniądze, nie myślałem o robieniu majątku. Cały dzień pracowałem chętnie, a wieczorem tu lubiłem z niemi przychodzić.

— Pamięta pan, jakeśmy w kwietniu puszczali pod zachód latawca. Dookoła śliwy kwitły bieluteńkie. Fasolka prosiła ostatniego dnia o nowego, dużego latawca. „Puśćcie go nad rzekę — mówiła cichutko — a wyzdrowieję".

— Poleciałem jak szalony do miasta, kupiłem najładniejszy, najdroższy, jaki mieli w sklepie, ze sznurkiem na siedemnaście łokci. Ale już było za późno, nawet na niego nie spojrzała. — Widzi pan, mam go tu; człowiek może w parę dni zdziecinnieć.

Wyjął wstydliwie z zanadrza papierowy samolot.

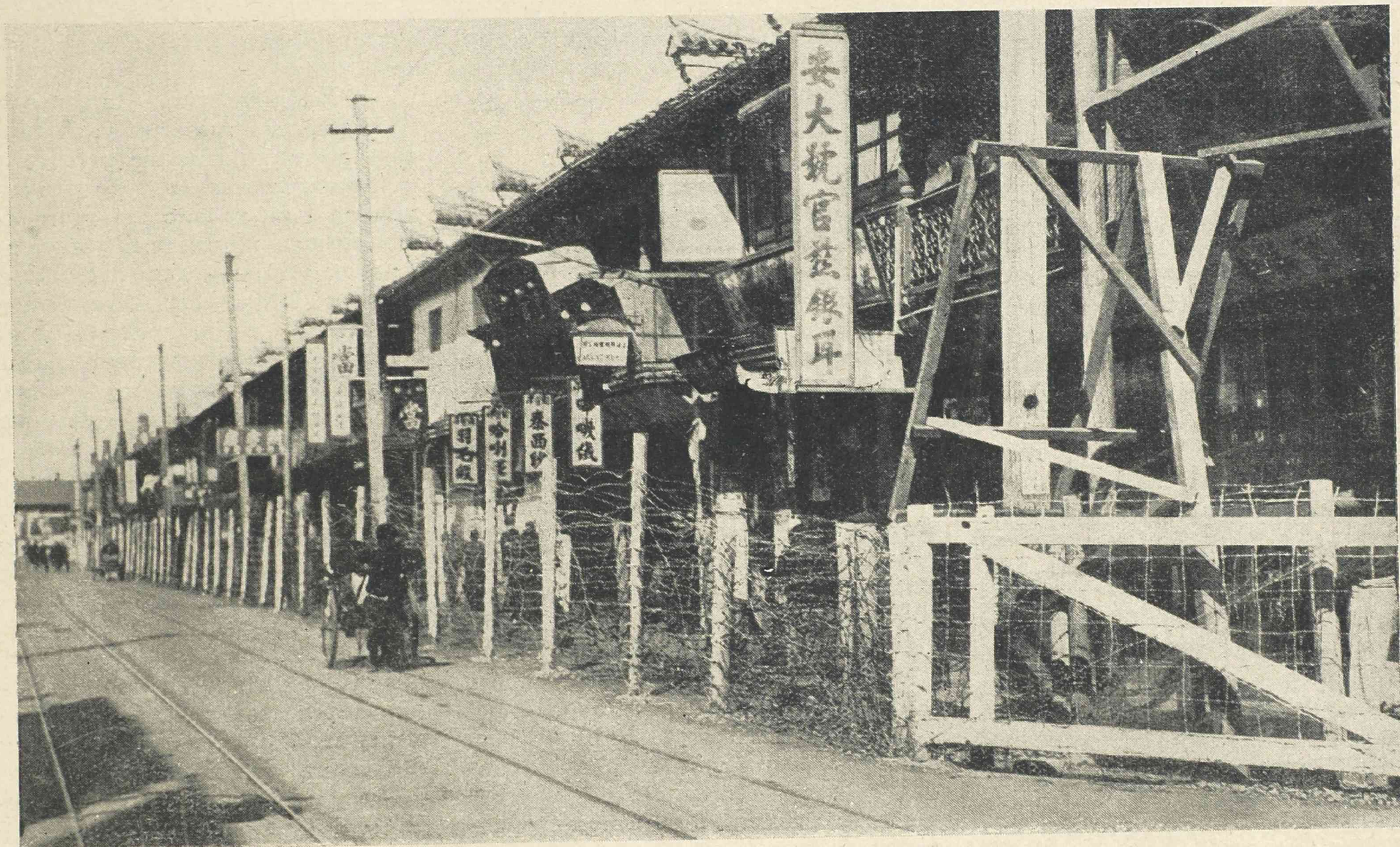
— Kiedy jestem sam, kiedy mnie nikt nie widzi, puszczam go na rzekę. Może im to robi przyjemność. Tylko się boję, żeby mnie ludzie nie podpatrzyli. Powiedzieliby, że stary Kwan chory, że mu się rozum z głowy wyprowadził.

Karol Frycz

ZATARG JAPOŃSKO-CHIŃSKI

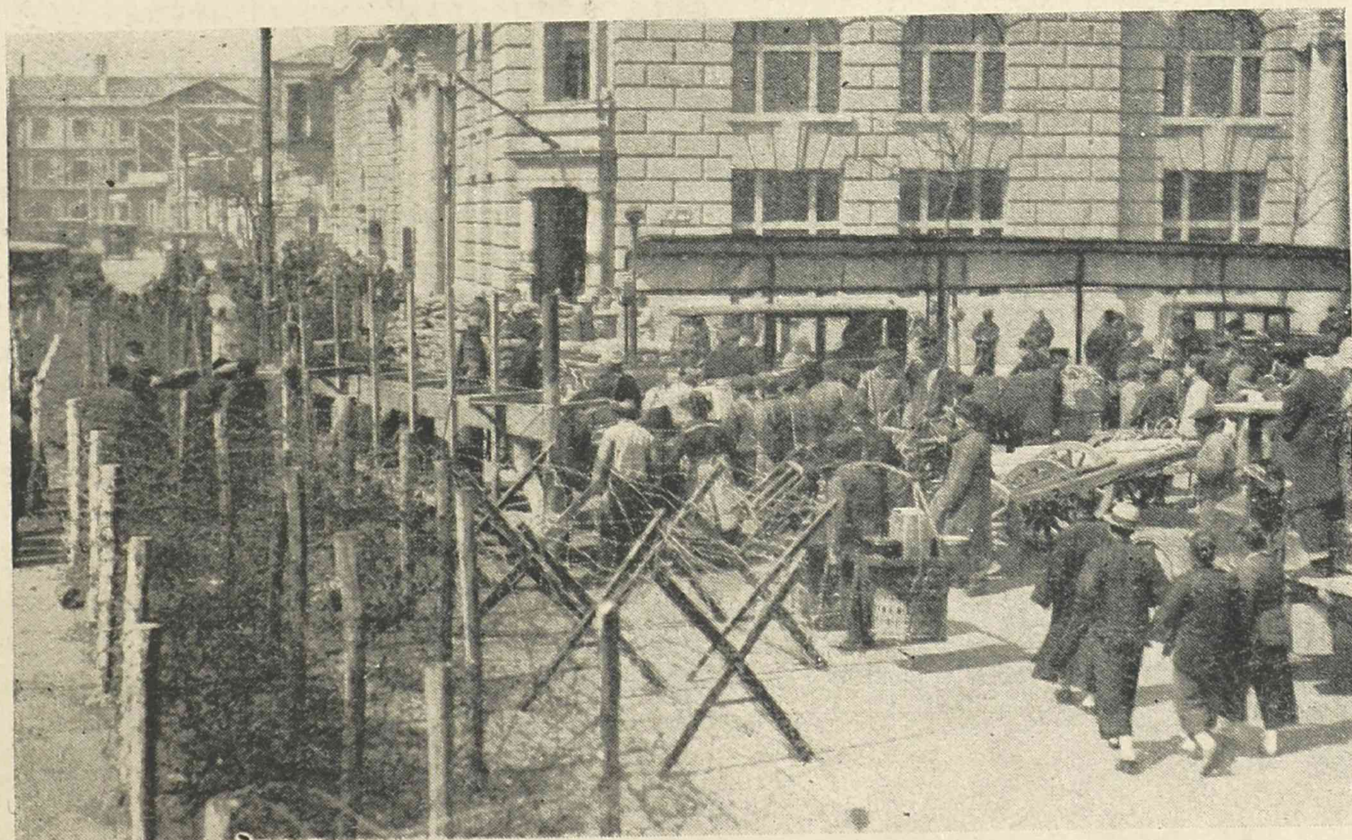


Obwarowanie koncesji międzynarodowej w Szanghaju workami z piaskiem



Dzielnica handlowa w Szanghaju: sklepy zostały ogrodzone zasiekami z drutów kolczastych

Fot. Associated Press



Ulice i place targowe koncesji międzynarodowej w Szanghaju zabezpieczone przed atakami drutem kolczastym

NAMIESTNIK CZY UZURPATOR?

Pamiętnik cesarza Karola o próbie restauracji Habsburgów na Węgrzech

DRAMATYCZNA SCENA W BUDAPESZCIE W MARCU 1921 ROKU

Rozruchy w Wiedniu i wybuch rewolucji komunistycznej Beli Kuna na Węgrzech zmusiły w 1919 r. cesarza i króla Karola do szukania schronienia w Szwajcarji. Wkrótce jednak wojska rumuńskie przepędziły Belę Kuna, a nad Węgrami zapanowała dyktatura białych pod wodzą admirała Horthy'ego. Objął on władzę zwierzchnią w charakterze regenta w oczekiwaniu na powrót prawowitego dynasty z rodu Habsburgów, których żaden akt prawny nie pozbawił korony węgierskiej.

Nagle w końcu marca 1921 r. rozeszła się wiadomość, że cesarz Karol potajemnie opuścił miejsce swego pobytu w Szwajcarji i zjawił się na Węgrzech z zamiarem objęcia tronu. Do tego jednak nie doszło. Po dziesięciu dniach, spędzonych w Steinamanger), cesarz powrócił na wygnanie. Jak się to stało? Dlaczego restauracja Habsburgów nie doszła wówczas do skutku? — Wyjaśnia to obecnie ogłoszony w znanym tygodniku francuskim „Les Annales" własnoręczny dziennik cesarza Karola, zachowany przez jego sekretarza, barona Werkmann'a. Wyjaśnia on we wstępie do pamiętnika, że cesarz przybył automobilem incognito do Steinamanger, gdzie przenocował i skomunikował się z wybitnymi swymi zwolennikami. Nazajutrz, w towarzystwie prezesa ministrów Teleki'ego i hr. Sigray'a, komisarza generalnego prowincji wschodniej, udał się do Budapesztu na rozmowę z regentem Horthy'm, który nie wiedział o niczem. Była godzina druga, gdy samochód cesarski stanął przed pałacem regenta. Oto co o dalszych wypadkach zanotował sam cesarz w swoim dzienniku.*

Niedziela, 27 marca 1921 r.

U bram pałacu stał kapitan Magashary, adjutant regenta, w mundurze polowym z szarfą czerwono-biało- zieloną. Wprowadził mnie on do apartamentów. Pokój, w którym znalazłem się, nie był opalony; panowało lodowate zimno, a ja już byłem zziębnięty. Zażądałem natychmiastowego wprowadzenia do regenta. Przechodząc przez adjutanturę, odrazu zrozumiałem nastrój tam panujący. Wszyscy, stanęli na baczność, ale z oczu bił chłód i nienawiść. Horthy z rzadką miną szedł mi na spotkanie. Ledwie znaleźliśmy się sami w jego gabinecie (był to mój dawny pokój do pracy), powiedział:

— Co za nieszczęście! Najjaśniejszy Pan musi natychmiast wracać do Szwajcarji.

Bardzo uprzejmie odpowiedziałem mu, że to niemożliwe; przez ten przyjazd spaliłem za sobą mosty. Następnie serdecznie podziękowałem Horthy'emu za wszystko, co zrobił dla swego króla i dla swego kraju; wyliczyłem wszystkie jego zasługi i oświadczyłem, że król i naród tego mu nie zapomną.

— A teraz — zakończyłem — proszę pana o złożenie w moje ręce władzy.

— A cóż ja wzamian dostanę od Waszej Królewskiej Mości?

Zdawało mi się, żem go źle zrozumiał:

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Co otrzymam od Waszej Królewskiej Mości? — powtórzył. Mówiąc to, wyciągnął rozwartą dłoń. Czy myślał o pieniądzach? A może był to instynktowny gest wyrachowania. Przezwyciężając prawdziwy wstręt fizyczny, wykrztusiłem z musem:

— Czegóż Pan żąda?

— Ja chciałbym wiedzieć, co Najjaśniejszy Pan mi ofiaruje.

— Człowiek, który prowadził wojska, wyzwalające kraj od bolszewizmu, który uwolnił go z pęt obcej okupacji, który wiernie rządził państwem, przywrócił ład i spokój, a dokonawszy tego wszystkiego, dobrowolnie zwraca władzę swemu królowi, ten człowiek wzniósł się sam przez się ponad innych. Wielkość jego promieniować będzie zawsze i stanie się on prawą ręką króla. Oto, Horthy, stanowisko, którego jesteś godzien.

Ale Horthy nalegał:

— No dobrze, ale co otrzymam od Najjaśniejszego Pana?

— Potwierdzam panu tytuł książęcy, który pan sam sobie nadał.

Horthy zaczął lamentować. Chociaż skłonny jestem przypisywać ludziom jaknajlepsze intencje, nie mogłem uwierzyć w tę komedję. Szlochał, że w takiej chwili nie może on myśleć o sobie, ale jedynie o Węgrzech, o tych nieszczęsnych Węgrzech! Co stanie się z krajem, wystawionym na tyle niebezpieczeństw: rewolucja, interwencja Wielkiej i Małej Ententy, okupacja zbrojna przez sąsiadów, opozycja innych pretendentów do tronu, opór większości narodu etc. Z zadowoleniem słysząc, że nareszcie mówi on o kraju, nie o sobie, starałem się rozproszyć jego obawy i obalić argumenty. Wreszcie zakończyłem:

— Wszystko odbędzie się według konstytucji. To też chcę przedewszystkiem zamianować swoich ministrów.

— Najjaśniejszy Pan nie znajdzie prezesa ministrów. Armja nie jest pewna. Krew się poleje.

Odpowiedziałem, że premjera znajdę i że nawet już mam zgodę zasadniczą wielu polityków, m. in. Vass'a, ministra rządu Horthy'ego. Obawa kilku strzałów nie powstrzyma mnie przed objęciem władzy i utworzeniem gabinetu. Dzięki wypróbowanej wierności Węgrów nie trudno będzie utrzymać porządek w kraju.

— A teraz, Horthy, proszę zrezygnować z władzy!

Wtedy odpowiedział, że pragnąłby jeszcze czegoś: dowództwa zwierzchniego nad armją. Zrozumiałem, że sprawa przepadnie, jeśli nie zadowolę tego marnego egoisty. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wobec sytuacji zewnętrznej, dla monarchy w moim wieku, abdykującego z dowództwa naczelnego wojskiem na rzecz człowieka, który ujawnił całą swą perfidję.

— Dobrze, pan będzie dowodził armją pod memi rozkazami. A teraz proszę wyrzec się władzy.

— Ja chcę jeszcze czegoś.

— Czegóż jeszcze?

— Chcę zostać głównodowodzącym floty.

— Gdy będziemy znowu mieli flotę, pan otrzyma dowództwo.

Horthy powrócił do wyrzekania na możliwość komplikacji. Odpowiedziałem, że temat jest wyczerpany, że musi uznać wielkie korzyści z posiadania przez państwo króla, gdy wszyscy wesprą go lojalnie. Jeśli istotnie kocha ojczyznę, winien zrzec się władzy. Chwiejność pociągnie za sobą fatalne następstwa.

*) Inaczej Szombathely, miasto przy granicy zachodniej Węgier.

— Chciałbym jeszcze czegoś, zanim zrzeknę się władzy.

— Proszę?

— Najjaśniejszy Pan musi mi nadać bardzo wysokie odznaczenie.

Zapomniałem zupełnie, że Horthy jest protestantem i powiedziałem:

— Jeśli pan teraz ustąpi, otrzymasz Złote Runo *).

Uszczęśliwiony Horthy zgodził się.

— Więc trzeba sporządzić akt zrzeczenia się władzy.

— To niemożliwe. Nie, ja nie mogę. Ja pomyślałem tylko o sobie. O czemże ja myślę? Przecież złożyłem przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowem!

— Pan przedewszystkiem mnie przysięgał.

— Ta przysięga już się nie liczy. Ona wygasła.

— Nie, ona nie wygasła. Ja nie zwolniłem z przysięgi ani jednego żołnierza. Co do pana zaś, to jest pan związany wobec mnie drugą jeszcze przysięgą osobistą: przysięgą szambelana.

— Wszystko to już się nie liczy. Ja nie czuję się związanym przysięgą wobec Waszej Królewskiej Mości. Jedynie ostatnia przysięga, złożona Zgromadzeniu Narodowemu, ma wagę.

— Ta przysięga nie może być skierowana przeciwko królowi, gdyż Zgromadzenie Narodowe nie ma prawa zmieniać dawnej Konstytucji i ono tego nie zrobiło. Sam pan mnie wyjaśnił i wiernym mi, gdy pytali, jakie znaczenie nadaje pan tej przysiędze, że ona potwierdza tylko przysięgę, złożoną królowi.

Horthy wyznaje, że każdy uczciwy człowiek czuje się „pomimo wszystko" związany dawną przysięgą. Następnie przypomniałem mu jeszcze przysięgę w Schoenbrun'ie.

— Tak, ale to było bardzo dawno. Teraz mam zobowiązania wobec narodu.

— Pan już nie ma żadnych zobowiązań wobec narodu. Prawa wyjątkowe nie istnieją, ponieważ prawowity król powrócił i jego prawo obowiązuje znowu. Moja obecność zwalnia więc pana ze wszelkich obowiązków wobec narodu. Ja jedynie ponoszę odpowiedzialność przed Bogiem i Ojczyzną, ponieważ ja, a nie pan, złożyłem przysięgę koronacyjną.

*) Order ten, według statutu, może być nadawany tylko szlachcicom — katolikom (przyp. wydaw.).

Horthy zamilkł, gniewny i zachmurzony.

— Jeśli pan odmówi obecnie zrzeczenia się władzy, wybuchnie rewolucja. Niech więc pan zrezygnuje.

— Nie!

— Panie admirale, w imię przysięgi, którąś mi złożył, ja, pański zwierzchni szef, rozkazuję panu podporządkować się i zwrócić mi władzę.

— Nie!

Po chwili milczenia zaś dodał:

— Zresztą wojsko mnie zaprzysięgło i nie jest pewne dla monarchji. Najjaśniejszy Pan nie może na nie liczyć.

— To nie odpowiada meldunkom, jakie mi złożono. Mówiono mi, że pan trzyma wojsko w ręku. Ja zawsze pana popierałem i miał pan dość czasu, aby je opanować całkowicie.

— Istotnie, jestem panem armji. Sądzę jednak, że Najjaśniejszy Pan nie powinien w tej chwili przejmować władzy i dlatego z niej nie rezygnuję. Rozkażę wojsku nie wykonywać poleceń Waszej Królewskiej Mości i ono mnie posłucha, bo mi przysięgało. Może tu i owdzie poleje się krew. Jakkolwiek będzie, szanse Waszej Królewskiej Mości będą minimalne.

— Jak pan może myśleć, że żołnierze dotrzymają przysięgi wobec pana, który ją łamie?...

— Każę rozstrzelać wszystkich tych, którzy ze mną nie pójdą, za dezercję i zdradę.

Oto sam się osądził — powiedziałem sobie w duchu. Musiałem całą siłę woli natężyć, aby udać, że nie widzę tej podłości. Zamilkłem przez miłość dla Węgier, przekonany, że trzeba wydrzeć panowanie nad krajem z rąk tego szkodnika. Znalazłem się wobec oporu, do którego nie miał przystępu żaden argument, wobec człowieka, w którym wymarły wszelkie wielkie i szlachetne uczucia.

Nie miałem nikogo przy sobie; nie wiedziałem nawet, co się stało z dwoma mymi towarzyszami. Byłem bez broni. Za drzwiami znajdowali się oficerowie ordynansowi Horthy'ego i inni jego satelici. Wszyscy tu jego tylko słuchali. Wpadłem w zasadzkę. Słowa i postępowanie Horthy'ego demaskowały jego myśli. Dlatego rzekłem:

— Pan podtrzymuje swój punkt widzenia, ja swój. Co pan zamierza robić? Czy każesz mnie aresztować?

Horthy spojrzał na mnie zmieszany; później spuścił wzrok z zakłopotaniem. Zapanowało milczenie. Wreszcie zaczerwienił się, roześmiał fałszywie i wyrzekł wolno:

— Nie,... nie aresztuję Waszej Królewskiej Mości.

— Więc zwróć mi pan władzę.

— To byłoby klęską dla państwa. Mała Ententa dokonałaby najazdu, wybuchłaby rewolucja. Dlaczego Wasza Królewska Mość nie poczekała dziesięciu lat. Prowadziłbym dalej dzieło naprawy.

Dyskusja przedłużała się w nieskończoność. Powiedziałem:

— Podtrzymuję swoje stanowisko. Daję panu 5 minut do namystu.

(Upłynęło pięć minut i rozpoczęła się taka sama rozmowa, w której wzajemnie wypominano sobie usługi i błędy. Ustęp ten pomijamy, gdyż nie wnosi do dramatycznej sceny nic nowego. Wreszcie cesarz napomknął, że przyjazd jego nastąpił w porozumieniu z pewną wpływową osobistością francuską).

Horthy zapytał o nazwisko tego francuskiego męża stanu. Odpowiedziałem:

— Nie mogę go wymienić. To sekret.

— Szkoda. To byłaby jedyna możliwość mego ustąpienia. Jeśli bowiem nazwisko jest miarodajne, sytuacja uległaby całkowitej zmianie.

Nabrałem nadziei, że jednak Horthy kieruje się względem na kraj:

— Jeśli pan przyrzeknie, że przekaże mi władzę i dochowa święcie sekretu, to będę mógł wymienić je panu, jako regentowi.

— Przyrzekam.

Wtedy powiedziałem mu nazwisko. Radość rozjaśniła mu oblicze.

— Dlaczegóż Wasza Królewska Mość nie powiedział tego odrazu. Przecież to wszystko zmienia!

— Więc teraz pan zgadza się ustąpić?

— Naturalnie, chcę się usunąć, ale... w tej chwili to... niemożliwe. Nie panuję nad sytuacją. Najjaśniejszy Pan zjechał zbyt niespodzianie.

— Przecież zawiadamiałem pana jesienią, że z pewnością wrócę na wiosnę.

Horthy sądził, że w kilka tygodni opanuje sytuację, pod warunkiem, że stanę na czele wojsk Lehara i pomaszeruję na Wiedeń.

— Najjaśniejszy Pan odzyska „nasze dobre miasto Wiedeń" i jednocześnie „nasze kochane Austro-Węgry" będą odbudowane.

(Zaczęła się dyskusja nad tym planem. Horthy kierował Karola na podbój Wiednia; ten chciał restaurację ograniczyć do Węgier. Stanęło na tem, że

król uda się do Szombathely na trzy tygodnie, poczem obejmie władzę).

— Mamy dzisiaj 27 marca. Trzy tygodnie upłyną 17 kwietnia. Jeśli w tym dniu Pan nie stawi się w Szombathely, zjawię się tegoż dnia w Budapeszcie.

Horthy zgodził się; później trzy tygodnie wydały mu się niedostateczne; plan był do niczego: Ententa dowie się z pewnością, że król znajduje się w kraju; jak tu zaprzeczyć? Jest to ruina państwa!

— Nie, to niemożliwe do wykonania. Wasza Królewska Mość powinna natychmiast wrócić do Szwajcarji...

Znów byliśmy w tym samym punkcie, jak na początku rozmowy.

(Po powtórzeniu poprzednich argumentów osiągnięto zgodę: król przez 3 tygodnie pozostanie w Szombathely, przygotowując marsz na Wiedeń; jeśli to okaże się nie niemożliwe, — wjedzie do Budapesztu.)

Gdy nareszcie Horthy powziął tę decyzję, wyraził zadowolenie, że wszystko ułożono jaknajlepiej; powodzenie pewne. Poczem objawił ostatnie swe życzenia: Kanclerstwo orderu Teresy zaakceptowało już jego kandydaturę. Ale to odznaczenie wcale go nie ucieszy, jeśli go nie otrzyma z rąk swego króla, jak to się odbywało w 1917, 1918 roku. Przypiąłem mu więc order Teresy i szybko pożegnałem, aby regent nie miał czasu pożałowania swej decyzji. Opuściłem pokój przez zamaskowane drzwi i w towarzystwie Magashazy starałem się dostać do wozu niespostrzeżony przez nikogo...

(Z dalszych stron dziennika cesarza wynika, że zanim on dojechał do Steinamanger, nadeszła tam depesza od Horthego do pułk. Lehar'a, zredagowana po czesku, prawdopodobnie dla większej konspiracji, polecająca wywiezienie Karola zagranicę jeszcze tej nocy. Zawiadomiony cesarz uznał go za zerwanie układu i zażądał natychmiastowego przekazania mu władzy. Horthy pozornie zgadzał się; już omawiano detale wjazdu do Budapesztu, nominacje ministrów i dowódców wojskowych, układano manifest do narodu. Tymczasem tegoż poniedziałku Horthy przyjął posłów Ententy i zawiadomił ich o przyjeździe Karola. Jednocześnie zwrócił się do króla hiszpańskiego Alfonsa XIII o wyjednanie listu żelaznego dla cesarza na przejazd przez Austrję do Szwajcarji. Mocarstwa zgłosiły notę protestacyjną, rząd belgradzki groził interwencją, wreszcie państwa Małej Ententy wystąpiły z ultimatum. Dn. 5 Kwietnia cesarz Karol opuścił Steinamanger i granice Węgier. Do ostatniej chwili łudził się, że go zatrzymają. W rok później — w kwietniu 1922 — umarł na Maderze. Admirał Horthy dotychczas jest regentem Węgier).

„Człowiek znaleziony w nocy"

Utrapienia naszej powszedniości nie wpływają dodatnio na rozwój zainteresowań humanitarnych. Nie można jednak odmówić pomocy maluczkim! Bierze ich w swoje orędownictwo Kornel Makuszyński. Świetny poeta, znakomity feljetonista napisał specjalną powieść pt. „Człowiek znaleziony w nocy", by przypomnieć naszemu społeczeństwu o tych najistotniejszych a prostych obowiązkach. Znając jednak gusta czytelników, autor „Karczocha" prowadzi swoją narrację według wszelkich prawideł strategji pisarskiej. Szermuje humorem, groteską, dowcipem, by wśród rozgwaru bitwy ująć liryzmem, sentymentem, podbić myślą zdrową, umoralniającą. Kornel Makuszyński napisał tę powieść wogóle dla przypomnienia prostego przykazania: Kochaj bliźnich swoich.

Utwór ten ukazywał się w odcinku powieściowym poczytnego i wpływowego dziennika warszawskiego. Współdziałał harmonijnie z akcją pomocy dla bezrobotnych, prowadzoną wtedy przez szerokie koła uspołecznionych obywateli naszego kraju. „Człowiek znaleziony w nocy" budzi te społeczne uczucia w Henryku, młodym utalentowanym pisarzu, szukającym drogi do dobra. Wśród zimnej, brzydkiej nocy przypadkowo spotyka on na ulicy obdrapańca, włóczęgę, który pyta go o godzinę. Tak nawiązali ze sobą znajomość. Okazała się dla obu błogosławioną. Henryk zaprosił do siebie na noc dziadzinę o wyglądzie nieszczególnym. W toku rozmowy dowiedział się przy trunku, iż oberwaniec ten nosi piękne rodowe nazwisko. Na imię mu Juljusz. Henryk zagustował w tym przybłędzie. Ofiarował mu w swojej willi pokoik i gościnność. Juljusz powoli zaczął go wprowadzać w świat uczuć altruistycznych, obcych dotychczas sercu literata.



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Henryk wyznaje: „Mam gdzie mieszkać, mam co jeść, co zawdzięczam zapobiegliwemu ojcu, ale nie mam czem żyć. Piszę książki, ale i te książki są jakieś niepewne; są bez korzeni i chwieją się, jak sosny na piaszczystej wydmie. Dużo w gałęziach szumu, dużo wiatru i pachnącego igliwia, rośnie na nich wiele słów dźwięcznych i wonnych, tylko owoc albo żaden, albo uschły i gorzki".

Przybłęda nauczy go opiekowania się rodziną inteligencką, pozbawioną środków do życia. W tej opiece znajdzie on treść życiową, zapładniającą. Juljusz zręcznie wywikła go z różnych tarapatów, choć Makuszyński rzuca groźny cień morderstwa na tego literata. Strzeliła do siebie dla kinematograficznego efektu nieszczęśliwa Ina Torres vel Karolina Ćmiel. Istnieje jednak podejrzenie, że to nie chęć samobójstwa, lecz jakaś rozprawa. Rzecz wyjaśni się i wszystkie tarapaty zakończą się pogodnie. Makuszyński zrehabilituje nawet „starą panterę", ś. p. Adelaidę Lepańską. Zapisze ona swój majątek Juljuszowi, a on założy sierociniec.

W nowej powieści Kornela Makuszyńskiego mamy do dyspozycji całe kopalnie poczciwości i dobroci. W słowach tej rudy błyszczą ponętnie drogie kamienie humoru. Autor starał się, by dowcip jego krasił morał i czynił dobrze, podnosił, sycił, budził uczucia jaknajlepsze.

„Człowiek, znaleziony w nocy", jako lektura poczytna, miejmy nadzieję, iż trafi nawet pod strzechy.

Obrady w Genewie



Przewodniczący Ligi, p. Paul-Boncour (w środku). Obok niego popularny na gruncie ligowym konsul francuski w Genewie, p. Amyleroy (na lewo)

Fot. Alfred Pasche

Wschodni antagoniści uprzejmie witają się przed gmachem Ligi Narodów: japoński delegat dr. Sato kłania się delegacji chińskiej



10)

Wytężałem siły, aby dogonić słonia. Ludzie byli już zmęczeni i gdyby nie to, że Izydor zapowiedział im hojne obdarowanie mięsem słonia, zwialiby napewno w powrotną drogę. Nareszcie Izydor, który wysunął się na czoło „safari", stanął i dał mi znak, aby się jaknajciszej zachowywać. Z niemałą emocją usłyszałem trzask łamanych gałęzi i wkońcu byłem o parę minut od słonia. Pozostawiwszy moich ludzi, z Izydorem, zacząłem szybko i cicho podchodzić zwierza na ukos, z boku. Usłyszałem prychanie, które słoń wydaje trąbą, gdy stojąc posila się liśćmi, które zrywa z ulubionych drzew. Był tuż za gęstą ścianą kolosalnych paproci, niewidzialny potwór, którego już tyle godzin ciężkim marszem prześladuję. Serce kołatało mi w piersiach, ręce kurczowo ściskały sztucer, cała wola i energja skupiły się w jednym kierunku — zabić.

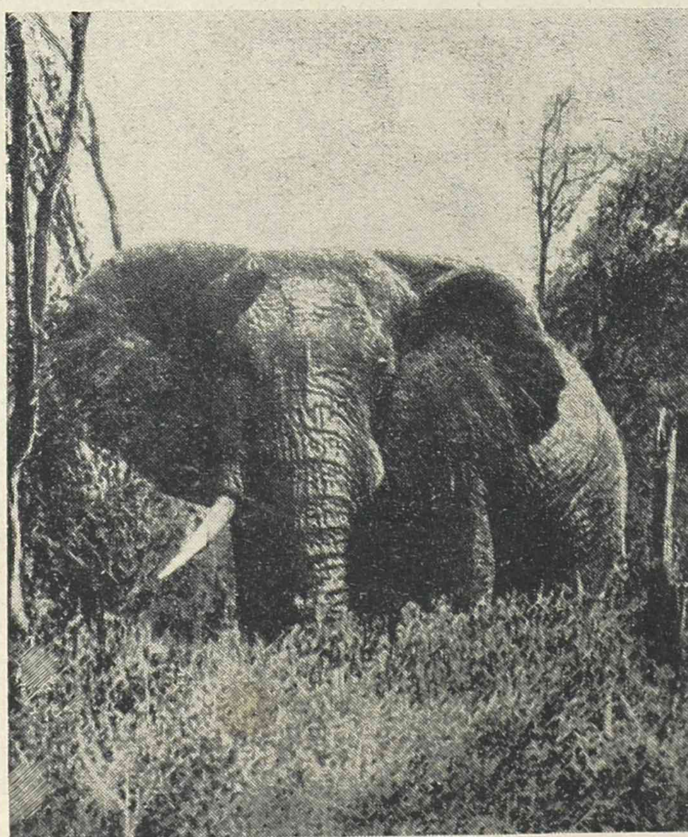
Chwila szalonej emocji, — jeszcze parę kroków zbliża mnie do spokojnie stojącego słonia; rozchylam trawy wysokie i o mało ze złości głośno nie zakląłem. Prześladowany z takim mozołem słoń miał tylko jeden, piękny bardzo, lecz pojedyńczy kieł...

W tej samej chwili zwierzę zwróciło kolosalny łeb w moją stronę, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo. Skamieniałem bez ruchu i w ciszy upalnego dnia słyszałem bicie własnego serca. Na szczęście, nie spotrzegł mnie, pochwili łeb zwrócił i strzygąc wielkiemi, jak tarcze, uszami, począł trąbą obrywać liście najbliższych drzew.

Z żalem i dużą dozą złości posłałem mu kulę wprost pod oko. Kolosalne cielsko, jakby pchnięte sprężyną, podało się szybko naprzód, aby runąć na podgiętą pod siebie głowę i nie ruszyć się już. Kula, przebiwszy grubą kość czaszki, spowodowała natychmiastową śmierć, rozbijając w kawałki mózg.

Pomimo szalonego gorąca zdjąłem kask z głowy i otarłem pot, który formalnie zalewał mi oczy. Kieł był piękny wyjątkowo, około 50 klgr. ważący, biały, bez pęknięć i rysów. Co za szkoda, że tylko jeden! Coby to było za trofeum! Kazałem go natychmiast wyrąbać i, nie tracąc czasu, po godzinnym odpoczynku, użytym na posiłek naprędce spreparowany, puściłem się w powrotną drogę.

Jakże ciężką i długą wydała mi się ta droga! Gdy myśliwy cel swój osiągnął, gdy zdobył to, co chciał, gdy już niema tego bodźca, co go naprzód pcha i daje mu wytrwałość, możność wydobycia z siebie maximum wysiłku, wtedy zmęczenie, ociężałość w marszu i zniechęcenie odczuwa się wpełni. Nie chcąc jednak dać poznać swym ludziom, co odczuwam, raźno kroczyłem naprzód, obiecując sobie wczesny nocleg i długi odpoczynek.



SŁOŃ MIAŁ PIĘKNY BARDZO, LECZ TYLKO JEDEN KIEŁ

Tym razem obrałem suche miejsce, zdala od leśnej gęstwiny. Kazałem dla siebie zrobić szałas z maty, uprzednio wypaliwszy kawał traw, aby nie być napastowanym przez mrówki, pająki i wszelkie inne paskudztwa, w które obfituje podzwrotnikowa fauna. Ludzie rozpalili ognisko w pobliżu, ciesząc się świeżem mięsem, którego dużą ilość zabrali ze sobą. Aby skrócić nudy, kazałem im śpiewać pieśni i tak zeszło do późnego wieczoru, gdy znużony, nie bacząc na chóry robactwa nocnego, zasnąłem snem sprawiedliwego.

Tą samą drogą po starych tropach dotarłem do obozowiska i z rozkoszą położyłem się na twardem łóżku polowem w obszernym namiocie, dającym maksimum komfortu, jakiego myśliwy zaznać może w swych wyprawach łowieckich w tropikalnym klimacie Afryki. Był to mój drugi słoń w koloniach francuskich zabity, stary byk; jak się potem okazało, waga kła wynosiła 47 klgr. Czarni dostali dnia tego piękne podarunki w postaci noży sprężynowych oraz podwójnej porcji soli. Porządnie się nabiegali, szczególnie tipoy'erzy spracowali się, nosząc mnie po przepastnych bezdrożach afrykańskiej kniei.

Posłałem zaraz do Narugu, aby mu o moim zwiastować powrocie i ofiarować mięso słonia. Pomimo oddalenia, niezwłocznie wyruszyło kilkunastu czarnych po mięsiwo, a ja w darze otrzymałem kilka chudych kur, parę ananasów, misternie plecioną z cienkiej rafji matę, oraz ładną dziesięcioletnią dziewczynę, jedną z córek Narugu, z którą miałem moc kłopotu, bo pomimo moich energicznych nalegań nie chciała do ojca powrócić i po zjedzeniu kolosalnej ilości

słoniowego mięsa ułożyła się na macie wpoprzek wejścia do namiotu, skąd nie było sposobu tej czarnej „piękności" wylać. Nosiła dźwięczne imię Mataku, miała misternie w strączki plecione włosy, dwie srebrne monety upiększały jej nozdrza, ciało tatuowane było cienkiemi arabeskami, które nawet nie szczędziły jej dziewiczej piersi. Izydor, pożądliwie łypiąc na nią oczyma, powiedział mi z małpim uśmiechem, chcąc widocznie okazać się dowcipnym:

— Trez bonne madame noire pour toi zoli, beaucoup zoli!

Zakazałem mu dotykać się mojej czarnej maskoty, która jak posążek z hebanu, leżała całemi dniami bez ruchu na macie, patrząc się oczyma antylopy wokoło ciekawie, zapytując naiwnie Izydora o przedmioty znajdujące się w namiocie, jak budzik, thermos, zegarek, z przerażeniem spoglądając na straszliwe „banduki" — sztucery i śmiercionośne maszasi (naboje). Mówiła narzeczem „sarga", z którego ani jednego słowa zrozumieć nie mogłem. Izydor zapewniał mnie, że król byłby bardzo zmartwiony i zły, gdybym ten hojny dar z powrotem odesłał, to też postanowiłem zatrzymać Mataku aż do ukończenia polowania.

Pozostawał mi jeszcze jeden słoń do odstrzału. Tymczasem pragnąłem ze dwa chociaż dni odpocząć i odpaść się po głodówce parodniowej i straszliwej mordędze. Deszcze padały codzień, błoto stawało się nie do przejścia, rzeka zrównała się z urwistym brzegiem, zatory gałęzi, pni, pęki traw i wodnego zielska stawały się podobne do mostów. Lada chwila mogła rzeka wystąpić z brzegów. Wtedy pozostawała ucieczka na wysokie drzewa. W tym celu przezornie kazałem przygotować wygodne wejścia na drzewa, rodzaj drabin z ljan, oraz oczyszczenie konarów z pasorzytów paproci, aby na wszelki wypadek módz się tam schronić każdej chwili w razie alarmu.



WYGLĄDAŁA, JAK POSĄŻEK Z HEBANU

Na drugi dzień po przybyciu zjawiło się dwóch królewskich „tuku-tuku" z raportem, że o trzy godziny marszu pojawiły się hypopotamy w rzece. To też nie mogąc oprzeć się pokusie, udałem się za nimi po grzązkich brzegach do miejsca, gdzie miałem napotkać te miłe stworzonka, około trzech ton wagi mające.

Wkrótce spostrzegłem świeże tropy hypopotamów głęboko w mule nadrzecznym odciśnięte. Idący na czele wyprawy „tuku - tuku" naglił do pośpiechu. Rzeka w niektórych miejscach tworzyła zatoki, gdyż wody były spokojniejsze, nie tak szybko rwące naprzód. W jednym z tych bajor natknąłem się na stado fakoszerów. Jednego z nich, ogromnych rozmiarów odyńca, nurzającego się rozkosznie w mule rzecznym, trzepnąłem na bliską metę, tak że niezwłocznie skonał. Reszta pierzchnęła w popłochu. Murzyni wydostali go na suchy ląd. Z dużą satysfakcją podziwiałem kolosalne szable, które mi się dostały na pamiątkę, oraz świetne pieczyste w perspektywie. Kazałem go wypatroszyć, odrąbać łeb i kończyny, zabalsamować w liściach, obwiązać cienkiemi ljanami, aby mięso od gorąca i licznych owadów nie ucierpiało.

(D. c. n.).



KULA, PRZEBIWSZY GRUBĄ KOŚĆ CZASZKI SŁONIA, SPOWODOWAŁA NATYCHMIASTOWĄ ŚMIERĆ

Jubileusz Filharmonji warszawskiej

Trzydziestoletni jubileusz Filharmonji Warszawskiej jest w życiu muzycznem nietylko Warszawy, lecz i całej Polski doniosłem świętem. Niema dziś na terenie Rzeczypospolitej muzyka, niema nawet przeciętnego słuchacza muzyki, t. zw. przeciętnego konsumenta muzyki symfonicznej, któryby wiele nie zawdzięczał tej jedynej w kraju, stałej a na tak wysokim poziomie od lat trwającej instytucji symfonicznej.

Omawiając zasługi Filharmonji Warszawskiej, zwrócić należy uwagę przedewszystkiem na orkiestrę i jej skład. Tych czterdziestu kilku muzyków (pośród których dziś jeszcze spotykamy artystów, obecnych już w pierwszym składzie orkiestry) dało dowód nietylko wielkiej miłości sztuki, lecz również wielkiej obywatelskiej ofiarności.

Orkiestra Filharmonji w pierwszym swym składzie (kompletowana jeszcze przez Reichmana) posiadała znaczną część sił obcych, — jako że w Polsce sił orkiestralnych symfonicznych nie posiadaliśmy wówczas poddostatkiem. Owe siły obce rozeszły się wkrótce z Warszawy, zastąpione przez muzyków miejscowych.

Muzycy nasi, instrumentaliści orkiestry filharmonicznej, przetrwali krótkie dobre czasy, następnie jednak wytrwali w długich a bardzo ciężkich i złych czasach. Były okresy, w których praca w orkiestrze nie przynosiła zgoła nic, co więcej, odbywała się ze znacznym uszczerbkiem materjalnym instrumentalistów.

Nigdy nie dali tego poznać po sobie, nigdy nie odbiły się wielkie trudności materjalnego bytu muzyków na wykonaniu symfonicznego dzieła!

Zespół filharmoników warszawskich, tak ofiarny gdy chodziło o przetrwanie materjalnych niepowodzeń i trudności, okazał też niemniejszą, — jeżeli można się tak wyrazić, — ofiarność artystyczną. Oto od wielu, wielu lat służy chętnie młodym dyrygentom, którzy tu w Filharmonji wyrabiali się na świadomych swej sztuki artystów.

Dzisiejszy senjor batuty polskiej, Emil Młynarski, tu przecież na estradzie Filharmonji dojrzał do szlachetnych rozmiarów europejskiego mistrza pałeczki dyrygenckiej.

Tutaj próbował swych sił, jako dyrygent, ś. p. Karłowicz.

Tutaj rozwijał swój talent kapelmistrza G. Fitelberg. Tutaj nieodżałowanej pamięci Zdzisław Birnbaum znalazł w orkiestrze Filharmonji Warszawskiej instrument, dzięki któremu genjalny ów dyrygent zdołał tchnąć umiłowanie sztuki symfonicznej w naszą publiczność.

Możemy bez przesady powiedzieć, że Filharmonja Warszawska wpłynęła decydująco na rozwój naszej muzyki symfonicznej. Starsi muzycy pamiętają jeszcze ów stan pojęć, jaki panował w Warszawie na początku działalności Filharmonji i szczęśliwe zmiany, jakie nastąpiły już po kilku latach pracy tego zespołu.

Byliśmy zaściankiem, dzięki Filharmonji staliśmy się jednym z normalnych ośrodków twórczości symfonicznej europejskiej.

Z estrady Filharmonji poszły w świat pierwsze niezapomniane dzieła Karłowicza, pierwszego twórcy współczesnej symfonji polskiej. Z estrady Filharmonji wyszły w pełnem swem brzmieniu utwory symfoniczne Żeleńskiego i Noskowskiego. Tutaj pierwszy raz usłyszała publiczność nasza, stąd dowiedziała się poraz pierwszy o znakomitym muzyku polskim i świetnym symfoniście W. Maliszewskim, który dyrygował swą symfonją w Filharmonji, jeszcze w mundurze słuchacza medycyny petersburskiego uniwersytetu.

Na tej estradzie rozegrały się wielkie boje pomiędzy „starymi i młodymi", wprowadzając do ulubionego przez naszą publiczność repertuaru ówczesnych młodych, jak Szymanowski, Różycki. Stąd pierwszy raz usłyszała Warszawa potężne poematy symfoniczne E. Morawskiego.

Od Gomółki do najmłodszych, do Maklakiewicza, Perkowskiego, — wszystkim symfonistom polskim okazała orkiestra filharmoniczna swe współdziałanie, pełne największej miłości sztuki, zrozumienia tradycji, oraz zrozumienia nowych prądów.

Jeżeli chodzi o muzykę obcą, to i w tym wypadku należy stwierdzić, iż trudnoby było o zespół bardziej pilny i skrzętny w rejestrowaniu nowości godnych uwagi ogółu. Nikt nigdy nie słyszał, by filharmonicy warszawscy, czy to ze względu na trudności w przygotowaniu danego dzieła, czy też ze względu na wątpliwe widoki powodzenia wzdragali się przed wykonaniem choćby najryzykowniejszych eksperymentów nowej muzyki.

Znakomici w wykonaniu wielkich dzieł symfonicznych umieli, gdy zachodziła tego potrzeba, stawać się doskonałym instrumentem towarzyszącym. Znana jest w świecie muzycznym i u nas i zagranicą ta czujna opieka i życzliwość, jakiemi zespół symfoniczny warszawski otacza występy wirtuozowskie. Cały szereg świetnych dziś światowych gwiazd naszych na estradzie Filharmonji w tej właśnie atmosferze życzliwości i najchętniejszej współpracy zdobywał pierwsze laury. Na estradzie Filharmonji Warszawskiej wystąpił pierwszy raz, jako solista w wielkim stylu, Artur Rubinstein, stąd wyszedł w świat znakomity Paweł Kochański, tu utwierdzał swą sztukę wykonawczą Zygmunt Stojowski, tu w pełni swego odtwórczego talentu zabłysnął Henryk Melcer — i iluż innych.

Trzydzieści lat pracy Filharmonji Warszawskiej — to kamień węgielny naszej tradycji symfonicznej, a zarazem najświetniejszy przykład, — czego dokonać zdoła miłość sztuki, poświęcająca dla wspólnego wielkiego celu drobne, osobiste ambicje.

jkb.

Koncerty uczniów i laureatów naszych uczelni muzycznych znajdują wielkie powodzenie wśród publiczności, co świadczy o zdrowem zainteresowaniu się ogółu pracą tych uczelni nad wykształceniem muzycznem. Ostatni z tych popisów Wyższej Szkoły Muzycznej Im. Fr. Chopin'a — zajętej dziś zresztą tak bardzo pracą nad przygotowaniem II-go Międzynarodowego konkursu Im. Chopin'a w Warszawie, — świadczy, iż prace nad przygotowaniem konkursu bynajmniej nie wpływają na bieg normalnych czynności pedagogicznych.

Wyższa Szkoła Im. Fr. Chopin'a, pozostająca pod wytrawnem kierownictwem Adama Wieniawskiego, na drugim koncercie laureatów przedstawiła publiczności wyniki swej pracy w zakresie śpiewu, fortepianu i skrzypiec [klasy Michałowskiego, Michałowicza i Sequard-Różańskiego], w których — sądząc z tego popisu, — poddani są uczniowie wytrawnej metodzie, przynoszącej jaknajlepsze wyniki.

Na koncercie tym wykonano między innemi cały szereg utworów fortepianowych A. Wieniawskiego [Bajeczki, cykl na fortepian], pisanych ze znakomitem odczuciem koloru i plastyki fortepianowej.

Wystawa „Sztuki" Krakowskiej w Instytucie Propagandy w Warszawie

Fot. Jan Ryś



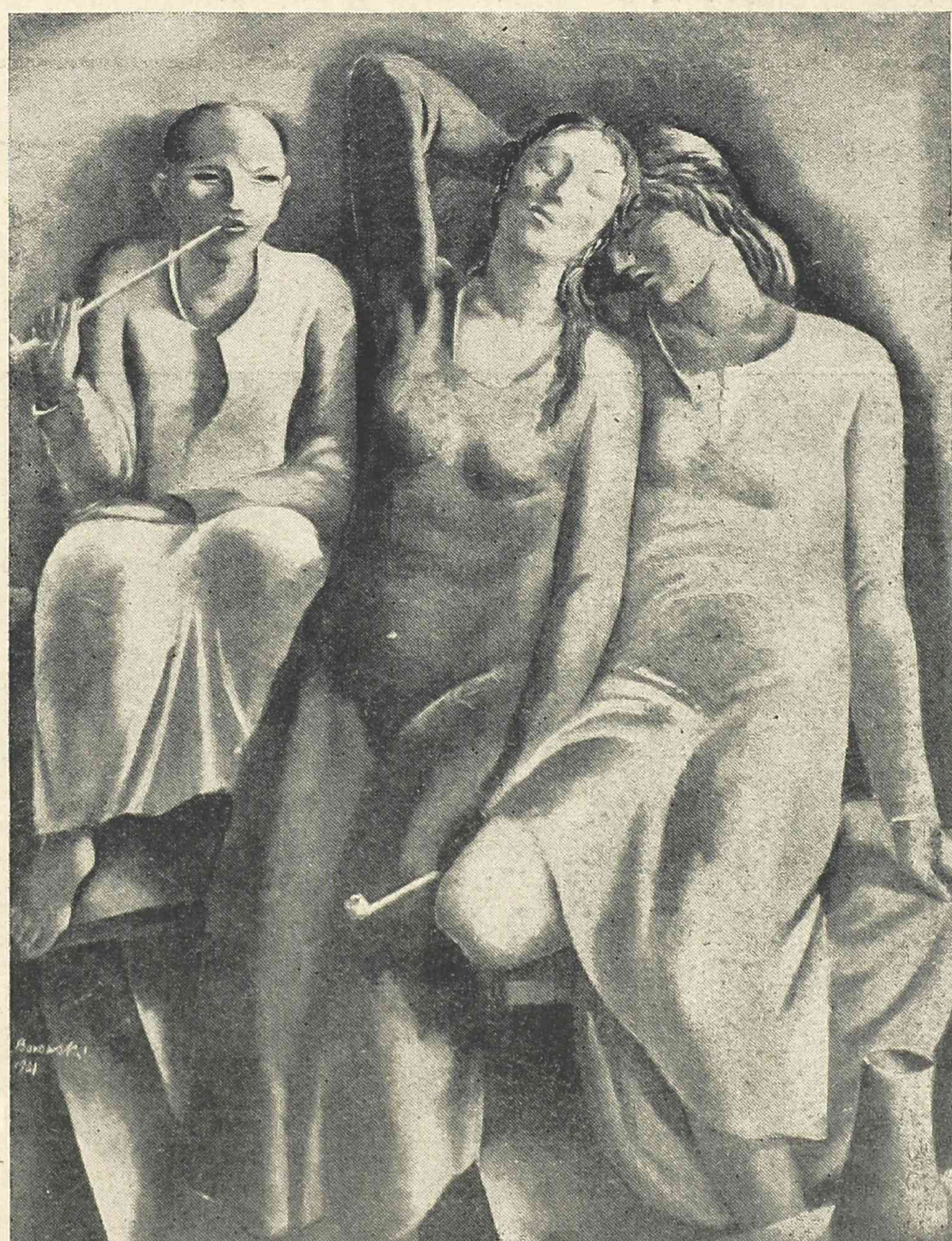
PROF. WŁ. JAROCKI „NARCIARKI"



TEOD. AXENTOWICZ „TANCERKA"



W. WEISS „AKT"



WACŁ. BOROWSKI „NARKOTYK"

Teatr Nowy: „Święty płomień", sztuka w 3-ch aktach Somerset-Maughama



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: PAN TABRET (W. BIEGAŃSKI), SIOSTRA WAYLAND (H. GROMNICKA)



PANI TABRET (MARJA DULĘBA), STELLA (KRYSTYNA ANKWICZÓWNA), COLIN TARBET (L. ŁUSZCZEWSKI)

Fot. Jan Malarski

Teatr Polski: „Defraudanci", przeróbka sceniczna z powieści W. Katajewa

Obyczajowość sowiecka wzbudza powszechne zainteresowanie. Cóż dopiero satyra ulegalizowana, ocenzurowana, powiedzmy wprost — propagandowa. Defraudacje popełniają ludzie starego regime'u, „bohaterowie" wojny japońskiej, wychowani na francuskich romansach, idealizujących hrabiów Guido, różni „spece", inżynierowie, buchalterzy, słowem, reprezentanci zmurszałego, walącego się świata i próby restauracji go w postaci t. zw. Nepu. Powieść i sztuka powstały w momencie likwidacji Nepu, stąd ich pożytek dla panującego prądu.



DROGA DO MIASTA UGRJUMSKA. P.P. DOMINIAK, ŁAPIŃSKI I ZELWEROWICZ

Fot. St. Brzozowski

Ale tak wygląda sprawa wewnątrz sowietów. Dla czytelnika czy widza europejskiego, nierozróżniającego kolejnych faz polityki sowieckiej, staje się przedewszystkiem widoczne, że złodziejstwa w instytucjach publicznych przetrwały upadek caratu, że są nawet częstsze, epidemiczne, ogarniają całe domy, całe ulice. Że pozostają przytem bezkarne: defraudanci podróżują po Rosji, mieszkają w hotelach leningradzkich, piją po lichych knajpach i luksusowych lokalach — i nikt im nie przeszkadza. Ba, wytworzył się cały przemysł hotelarsko-klubowo-kokoci, żerujący na tego rodzaju osobnikach, będących w niezgodzie z kodeksem karnym. Powstał typ defraudanta - zawodowca, racjonalnie wydającego skradzione z „kazny" pieniądze — inż. Scholte.

Przechował się też klasycznie — rosyjski okaz „rewizora", teroryzującego zawsze niepewną siebie administrację prowincjonalną. Słowem, zmieniają się formy rządów i ustroje społeczne, — a obyczajowość i moralność trwa taka sama.

To właśnie wynikało z powieści Katajewa, okraszonej wielką dozą humoru i przedstawiającej w karykaturze charakterystyczne cechy życia rosyjskiego; przy czytaniu jej co raz wybucha się śmiechem. W przeróbce scenicznej humor, niestety, gdzieś się zagubił, a wystąpiła ckliwość Wanieczki i monotonja pijaństwa. To też publiczność raczej nudziła się, ożywiając jedynie przy ukazaniu się na scenie prawdziwego konia. Ten poczciwy Siwek, występujący w podwójnej roli moskiewskiego rysaka i wiejskiej szkapiny, oraz migający za kulisami pociąg — najwięcej zbierały oklasków.

ski.

Warszawskie Teatry Miejskie

Teatr Narodowy wystawia w nadchodzącą sobotę „Don Carlosa" Szyllera w nowym przekładzie K. Iłłakowiczówny. Będzie to zatem nietylko święto poezji ogólnoludzkiej, ale także i poezji polskiej, przekład bowiem znakomitej poetki posiada sam w sobie głębszą wartość. Świetna obsada (Malicka, Lindorfówna, Solski, Osterwa, Węgrzyn, Szymański, Socha, Myszkiewicz), nowe dekoracje Frycza, wspaniałe kostjumy, reżyserja Chaberskiego wreszcie — wszystko zapowiada, że ten wielki wysiłek artystyczny będzie istotnym wypadkiem w naszem życiu teatralnem. Trzeba dodać przytem, iż „Don Carlos", poza wszystkiemi swemi wysokiemi walorami poetyckiemi, jest utworem scenicznym tak porywającym, że najbardziej sensacyjne sztuki współczesne nie mogą z nim wytrzymać współzawodnictwa.

W teatrze Nowym „Święty płomień" z każdym dniem coraz większe utrwala sobie powodzenie. Dramat ten, nawskroś nowoczesny, wzrusza do głębi, zaś gra p. Dulęby jest arcydziełem wysokiej sztuki aktorskiej.

Teatr Letni wreszcie zyskał nowego „szlagiera" w skrzącej się humorem komedji Winc. Rapackiego p. t. „Wesoły Wspólnik". Prawda, że trzy główne role znalazły się w rękach najlepszych artystów komedjowych, jakich posiada obecnie teatr w Polsce: Ćwiklińska, Fertner, Jerzy Leszczyński. Tę trójkę każdy będzie chciał zobaczyć!

*

Związek Artystów Scen Polskich ogłasza konkurs na utwór teatralny, bez ograniczeń tematu lub formy. Nagrodzona sztuka ma być wystawiona w teatrze, który Zasp zamierza otworzyć na jesieni w gmachu b. Panoramy przy ul. Karowej, a która to impreza budzi wielkie wątpliwości nawet w kołach aktorskich. Być może, iż co wytrwalsi grafomani dadzą się skusić syrenim acz skromnym obietnicom tej inwitacji.

Trochę humoru z za kulis

Jak wiadomo, dyrektor Ludwik Solski otrzymał w tych dniach pismo z Włoch, zapraszające go do wzięcia udziału w tournée po miastach włoskich z słynną włoską tragiczką — spadkobierczynią Duse — Emmą Grammatica.

— No, dobrze, ale Solski przecież nie umie po włosku.

— Jak będzie ciągle jeździł z włoską gramatyką, to się nauczy...

*

Znany artysta i reżyser Wiktor Biegański miał niedawno w swoim domu radosne wydarzenie. Przybył mu na świat syn.

Z tego powodu jeden z kolegów rzuca mu się na szyję.

— Gratuluję ci, Wiktor: stworzyłeś żywego człowieka!

Nowe premjum dla Czytelników „ŚWIATA".

50% zniżki ceny biletu do teatrów Narodowego, Nowego i Letniego

W każdym zeszycie „Świata", począwszy od niniejszego, znajdować się będzie na 3-ej stronie okładki kupon. Za okazaniem tego kuponu w ciągu bieżącego tygodnia można będzie otrzymać w kasach wyżej wymienionych teatrów (prócz dni świątecznych i premjer) bilet wejścia za połowę normalnej ceny.

Nabywając zeszyt „Świata", zyskiwać się będzie na bilecie do teatru znacznie większą sumę.

Mamy niepłonną nadzieję, że nasi Prenumeratorzy i Czytelnicy przyjmą to nowe premjum „Świata" z zadowoleniem.

Próba „Wesołego wspólnika" idzie też na wesoło



JÓZEF ŚLIWICKI, REŻYSER, ORAZ ZNAKOMITY TERCET WYKONAWCÓW: ĆWIKLIŃSKA, LESZCZYŃSKI I FERTNER, PROWADZĄ PRÓBĘ WOBEC AUTORA

Fot. J. Malarski

Autor po premjerze „Wesołego wspólnika"

„Cogito ergo sum". — „Myślę, więc jestem", powiedział jakiś pan... nawet wiem, jak się nazywał, ale dziś, po premjerze nikomu nie chcę robić reklamy, tylko sobie, tembardziej że sentencję „Myślę, więc jestem" pragnę zamienić na „Piszę, więc jestem".

Z samego myślenia nic się jeszcze konkretnego nie wyłoniło, a z pisania bardzo wiele.

Piszę, więc jestem.

Co piszę?

Naturalnie sztukę.



WINCENTY RAPACKI

Piszę i cieszę się. Każdy autor, pisząc, cieszy się, to także dowód, że *jest* — bo gdyby go nie było, nie mógłby się cieszyć. A więc piszę... a raczej już napisałem trzydziestą piątą sztukę, która ukazała się w czwartek w teatrze Letnim p. t. „Wesoły wspólnik".

Jest to trzydziesty piąty utwór...

Właściwie popełniłem tych utworów o wiele więcej... ale tylko trzydzieści cztery „rozśmieszały widzów do łez i zamykały okienko od kasy na godzinę przed rozpoczęciem widowiska", jak to czytałem w różnych wzmiankach. Niektórzy nawet twierdzą, że ja sam te wzmianki fabrykowałem. — Nikt by nie dał wiary, jak daleko sięga ludzka zazdrość.

Przeklęta zazdrość dziwnie się frasuje,
Kiedy u kogo co nad ludzi czuje

głosi Jan z Czarnolasu, przedziwny nasz poeta, którego zoil Pudłowski przez zazdrość nazywał „składaczem doświadczonym".

Ale ja nie kapituluję.

Trzymać fason to grunt, jak mówi mój Franio w krotochwili pod tytułem „W czepku urodzony".

Może mi ten i ów odmówić talentu i nazwać go (ten talent) instynktywizmem.

Na sposoby biorą się, jak śpiewa Parys, jeżeli chodzi o zgnębienie groźnego przeciwnika. Groźny przeciwnik, to ja... a instynktywizmem obdarzył mnie rywal komedjopisarz. Może źle usposobiony kolega po piórze odmówić mi humoru (zwłaszcza jeżeli ma jakieś zmartwienie). Inny znowu może mi zarzucić, że przemycam uczciwych ludzi na scenę, co jest w wysokim stopniu nieetyczne, bo na świecie dawno ich już niema (podobno). Ale żaden z nich nie może mi odmówić... wytrzymałości...

Trzydzieści pięć sztuk, czyli trzydzieści pięć razy kochany autor dostaje lanie, Hic tamen vivit, O tempora o mores!

Bądźmy sprawiedliwi, ci, co mnie bili, — bili po ojcowsku. —

Nie zrobili mi krzywdy.

Mogę powiedzieć, jak pewien satyryk o Władysławie Bogusławskim:

Siłą i środkiem, gdy pióro swe nabił,
Choć wielu trafił, nikogo nie zabił.

Nie zabił mnie żaden... a najlepszym dowodem mój „Wesoły wspólnik", który ukazał się w czwartek na deskach teatru Letniego.

Na tych samych deskach, po których stąpał Żółkowski i Królikowski.

Na tej scenie, gdzie rozbrzmiewał głos Mierzwińskiego w „Hugonotach".

Gdzie Moniuszko dyrygował „Hrabiną".

Gdzie grał Ernesto Rossi, Maggi i Salvini.

Gdzie śpiewała Kochańska i Kruszelnicka.

Takie asy czarowały publiczność w tej drewnianej budzie, którą niektórzy, nie bacząc na jej wspaniałą przeszłość, skazują na zagładę.

A dziś panuje tam... „Wesoły wspólnik".

Z porządku rzeczy wypada, ażeby wspólnik miał wspólnika, w przeciwnym razie traci swoją godność.

Mój „Wesoły wspólnik" ma nietylko wspólnika, ale i wspólniczkę.

Jest to bowiem towarzystwo akcyjne z Mieczysławą Ćwiklińską, Jerzym Leszczyńskim i Antonim Fertnerem na czele.

Towarzystwo to wzięło sobie za zadanie wskrzesić złote czasy teatru Letniego i wprowadzić wesołość na widownię. Czy im się to udaje, może się każdy przekonać — odwiedziwszy teatr Letni. — Ja nie mam nic przeciwko temu.

Wincenty Rapacki

W dzisiejszych czasach zaufanie to kapitał

Zdobyć zaufanie dziś, to nie łatwo, jednak osiągnąć to może instytucja oparta na solidnych podstawach i nienadużywająca kredytu. Takich instytucji mamy dziś niewiele. Jako wzór może służyć Komunalna Kasa Oszczędności (K. K. O.), zabezpieczona zarówno całym majątkiem 5 miast i 26 gmin powiatu warszawskiego, liczących 300.000 mieszkańców, jakoteż własnymi kapitałami. Trzyletnią działalność tej instytucji ilustrują najbardziej przekonywująco przytoczone cyfry. Ogólna suma obrotów K.K.O. dosięgła w trzecim roku działalności (1931) 80.000.000.— zł. w tem obroty na r-ku wkładów i lokat stanowiły: na wpłatach — zł. 11.516.800.— na wypłatach — zł. 7.935.000. — Ilość książeczek (oszczędnościowych) z 5.776 na 1-go stycznia roku ub. powiększyła się o 172% i wynosiła na 1-go stycznia roku bież. 15.719. Wkłady i lokaty z kwoty 7.409.000.— zł. (przed rokiem) powiększyły się w roku ub. niemal o 50%, dosięgły na 1-go stycznia roku bieżącego 10.991.500.— zł. W zakresie przystępnej pomocy kredytowej dla mieszkańców osiedli podstołecznych w ciągu trzech lat ubiegłych udzieliła K. K. O. pożyczek (na hipoteki względnie na weksle poręczone osób materjalnie odpowiedzialnych) ogółem na sumę około 20 miljonów zł. (zgórą 14.000 pożyczkobiorców), przyczem drobni rolnicy, letniska, przemysł mniejszy i rzemiosła miały w tym względzie skuteczną pomoc finansową ze strony K. K. O., która obok Dyrekcji w Warszawie posiada trzy oddziały: w Pruszkowie, Piasecznie i Jeziornie, tudzież zbiornicę w Otwocku.

K. K. O. pow. Warszawskiego płaci za wkłady i lokaty 8% — 9% (zależnie od wypowiedzenia). Książeczki wkładowe (na okaziciela lub imienne) są wolne od podatków przy tajemnicy wkładów i lokat, ustawowo zastrzeżonej. Pupilarna gwarancja książeczek K. K. O. pow. Warszawskiego nadaje im specjalną moc prawną o charakterze dokumentów pieniężnych, przyjmowanych przez państwowe władze, urzędy i zakłady, jako wadja przy wszelkich przetargach, jako kaucje akcyzowe i celne względnie kaucje przy zawieraniu umów. Kwota lokat i wkładów, osiągająca 11 miljonów zł. złożonych na 15.719 książeczkach oszczędnościowych, po trzech latach funkcjonowania K. K. O. daje dostateczny sprawdzian zaufania, jakiem darzy społeczeństwo nowo powstały zakład pieniężno-kredytowy o cechach użyteczności publicznej.

Zgon najpoczytniejszego beletrysty świata

Na zapalenie płuc zmarł w 56 roku życia w Hollywood po trzydniowej chorobie najpoczytniejszy beletrysta świata, Edgar Wallace. Powieści jego kryminalistyczne obiegły wszystkie kontynenty, budząc szerokie zainteresowanie dla detektywicznych wyczynów Mr. G. Reedera. Postać ta stała się tak popularna, jak i jego krewniak, Arsenjusz Lupin.



EDGAR WALLACE

Edgar Wallace napisał zgórą 150 powieści. Jest to rekord pracowitości. Poza tem dał 12 sztuk teatralnych. Krótkie nowele jego, pisane specjalnie dla magazynów angielskich i amerykańskich, płacone były na wagę złota. Edgar Wallace wykazywał do podatku dochody sięgające 250.000 funtów rocznie. W Polsce nakłady jego powieści wynoszą zgórą 200.000 egzemplarzy.

Stracił on u nas cokolwiek poczytność po słynnym wywiadzie, udzielonym prasie niemieckiej w sprawie „korytarza gdańskiego". Obok powieści kryminalnej uprawiał z powodzeniem beletrystykę egzotyczno-kolonjalną. Karjerę swoją życiową rozpoczął, jako żołnierz w wojnie boersko-angielskiej. Później był korespondentem „Daily Mail", właścicielem własnego dziennika w Johannisburgu. Wróciwszy do Anglji, zdobył sobie szybko popularność i pieniądze. Posiadał własną stajnię wyścigową. Do ostatnich chwil czynny był, jako dziennikarz. Słynął swemi sprawozdaniami z turfu i kina.

Zadziwić musi fenomenalna pracowitość tego człowieka. Jak znajdował czas na wszystkie te zajęcia — pozostanie tajemnicą jego indywidualności. Normą twórczości E. Wallace'a była codzienna praca: 10 tysięcy słów dyktowanych codziennie maszynistce nawet w podróży!

Ś. p. Magdalena z Lefebvre'ów Józefowa Wielowieyska

Choć z obcej ziemi rodem, ukochała ten kraj i wiernie służyła swej nowej ojczyźnie.

Ś. p. Magdalena Wielowieyska urodzona w Paryżu, wychowana w tradycjach starej palestry francuskiej, karmiona wspomnieniami Epoki Napoleońskiej, wyróżniała się swym gorącym patryotyzmem, najprzód francuskim, a potem nie mniej gorącym polskim.

W 1921 r. poślubiła w Rzymie p. Józefa Wielowieyskiego. Obdarzona wybitną



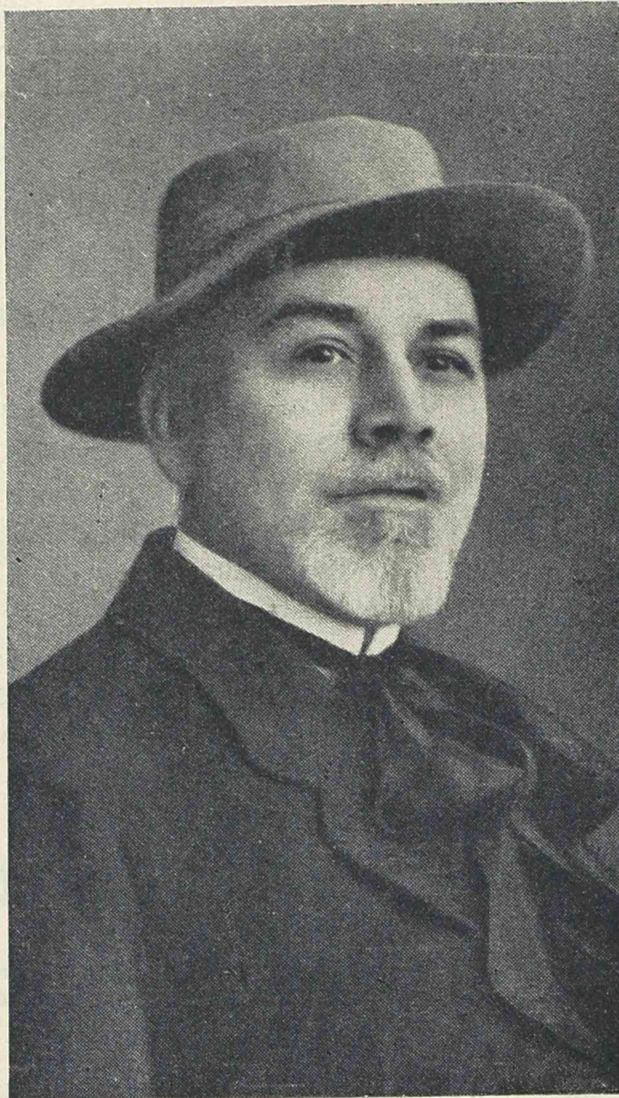
Ś. P. MAGDALENA WIELOWIEYSKA

inteligencją, gorącym sercem, jak również wielkim urokiem osobistym, wszędzie gdzie ją przerzucała karjera Jej męża, czy to w Paryżu jako żona Radcy Poselstwa w swym pałacyku w Boulogne, czy to jako Pani Domu Poselstwa Polskiego w Bukareszcie, wszędzie umiała skupić koło siebie sympatję szerokich sfer politycznych i towarzyskich. Salon Jej był zawsze ośrodkiem propagandy polskiej i służyć tej idei było zawsze Jej najgorętszym celem.

W 1927 roku przyjeżdża z mężem do Warszawy i tu odrazu, pomimo nieznanego Jej terenu, w bardzo krótkim czasie tworzy salon, w którym spotyka się wszystkich, tak polaków jak i cudzoziemców, tak świat towarzyski jak polityczny, tak artystyczny jak naukowy.

Odeszła w pełni sił ku ogólnemu żalowi. Umarła jak i żyła dla Boga i ludzi. Pozostawia po sobie żal bardzo gorący i szczery.

Ś. p. Dr. Wł. Smoniewski



Ś. p. Dr. Władysław Smoniewski

Ś. p. Dr. Władysław Smoniewski, Naczelny Lekarz Zakładu Chirurgicznego „Omega", zmarł dnia 4 Lutego r. b., przeżywszy lat 56. Zmarły przez długie lata kierował tym Zakładem, otaczając chorych opieką lekarską z bezgranicznem oddaniem. Był prawdziwym duchem opiekuńczym dla wszystkich cierpiacych. Nie szczędził sił i zdrowia, spiesząc w dzień i w nocy z pomocą chorym.

Pożyteczna Placówka

Z uznaniem witamy otwarcie nowej, nader pożytecznej, instytucji w stolicy— Banku Spółdzielczego „Kredyt Urzędniczy", Spółdzielnia z ograniczoną odpowiedzialnością, przy ul. Marszałkowskiej 129, zadaniem której jest udzielanie pożyczek wojskowym, urzędnikom państwowym, komunalnym i tp. na obszarze. Rzpl. Polskiej, z oprocentowaniem 11% w stosunku rocznym, na spłaty miesięczne lub kwartalne.

Nowopowstała placówka ma na celu udostępnienie taniego kredytu szerokiemu ogółowi rzesz pracujących, jest instytucją o wysokiej idei i pewności finansowej. Podstawą Banku są: kapitał krajowy i poważne, uzyskane zagranicą, sumy redyskontowe.

„Kredyt Urzędniczy" przystępuje obecnie do akcji finansowania pobytu urzędników wraz z rodzinami w miejscowościach uzdrowiskowych i wypoczynkowych, koszty którego ciż urzędnicy spłacać będą w ratach miesięcznych lub kwartalnych przez okres roczny.

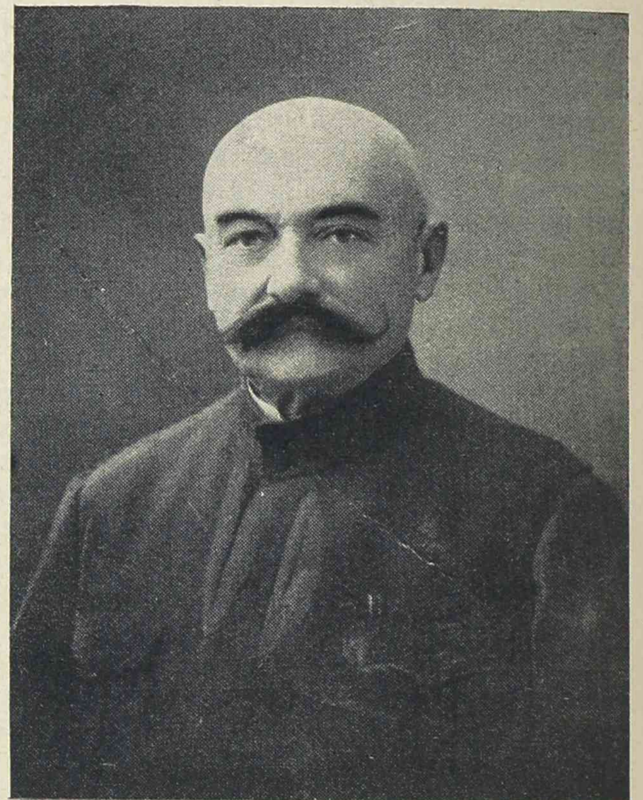
Zgon zasłużonego Kolejarza

W dniu 3 lutego r. b. zmarł w Ostrogu nad Horyniem ś. p. Kazimierz Sas-Kulczycki, jeden z grona długoletnich pracowników kolejowych.

Zmarły w okresie czasu do wybuchu wojny pracował na drogach rosyjskich, gdzie obok pracy z tytułu stanowiska brał czynny udział w pracy społecznej, krzewiąc kult polskości.

Pracując w Tyflisie, Kraju Zabajkalskim, Wiatce, Jarosławiu, a ostatnio w Mołodecznie — w odległych stronach wśród otoczenia rosyjskiego, zawsze czuł się Polakiem i dom Jegoześrodkowywał życie miejscowej kolonji polskiej.

Udającym się do Niego Polakom nigdy nie odmawiał swego poparcia i pomocy, — zwłaszcza uczącej się młodzieży, która za swe poglądy i marzenia o wolnej Ojczyźnie, miała zamkniętą drogę do kształcenia się w kraju ojczystym.



Ś. P. KAZIMIERZ SAS-KULCZYCKI

Po przybyciu po wojnie do Odrodzonej Polski i przedłużając pracę w kolejnictwie, ostatnio na stanowisku Naczelnika Biura dla Celów Wojskowych w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Warszawie, nie ustawał w pracy społecznej aż do zgonu.

Śmierć śp. Kulczyckiego okrywa smutkiem tych wszystkich, którzy Go znali i cenili za Jego prawy charakter, współczucie dla niedoli ludzkiej i bezgraniczną uczynność. Pamięć o Nim pozostanie w ich sercach.

Ś. p. Kazimierz Sas-Kulczycki żył lat 76.

Pochowany został w Ostrogu nad Horyniem.

Szlakiem dziesiątej muzy

Zbliża się powoli koniec wielkiego sezonu filmowego, sezonu zimowego: kończy się luty, marzec już za pasem, a są to ostatnie dwa miesiące t. zw. zeroekranów, na których nowe filmy muszą się przedstawić publiczności, jeśli ich wytwórcy nie chcą stracić na eksploatacji, przez sezon wiosenny bowiem i letni nowe filmy winny być wyświetlane po za Warszawą i obiedz długą drogę, znaczoną etapami kin prowincjonalnych.

To też z gorączkową szybkością kończą i wypuszczają w świat wytwórnie krajowe jeden film po drugim. Po „Szybie L. 23", którego premjera odbyła się w Hollywood, lada chwila ukaże się na ekranie nowy film Henryka Szary p. t. „Rok 1914" z Jadwigą Smosarską w roli głównej kobiecej, a reżyser Ryszard Biske ukończył zdjęcia plenerowe do nowego filmu p. t. „Puszcza", którego scenarjusz osnuty na tle powieści Józefa Weyssenhoffa (nagrodzony w swoim czasie na konkursie As-filmu), napisała Zofja Dromlewiczowa. Obsadę „Puszczy" tworzą: znana śpiewaczka Nina Grudzińska, b. artystka opery warszawskiej, występująca obecnie w „Qui-pro-quo", Ina Benita, Jan Marr, Tadeusz Ordeyg i Andrzej Karewicz. W najbliższym również czasie ukaże się w „Colosseum" wielki film Józefa Lejtesa i Michała Orlicza, p. t. „Dzikie pola", osnuty na scenarjuszu znanego krytyka filmowego, red. Leona Bruna. Zdjęcia do tego filmu, robione w nieznanych, zapadłych kątach w Pińszczyźnie, odznaczają się podobno niezwykłą plastyką, co jest zasługą bawarczyka Weymayra, znakomitego operatora, który pokochał krainę wód i moczarów, odczuł jej ducha i całe jej niesamowite piękno zaklął w poemat ekranowy.

Tak „Puszcza", jak i „Dzikie Pola" dają więc to, co w filmie najpiękniejsze i najistotniejsze: odbicie natury, plenery, tem ciekawsze, że dotychczas niewyzyskane prawie zupełnie, zlekka tylko pokazane przez Leytesa w filmie „Z dnia na dzień". A przecież Polesie, Pińszczyzna to naprawdę cała kopalnia przedziwnie pięknych i pełnych bajkowego czaru fotosów. Fotogeniczność tych rozlewisk wodnych, szumiących zarośli, rojstów, moczarów jest niezrównana. Można z tego tła stworzyć bajecznie piękny obraz filmowy, którym wzrok widza będzie się napawał w zachwycie.

Tematem nieporuszonym dotychczas były również kopalnie. Nafta, tak pięknie opisana przez Sewera i Kossowskiego w ich powieściach („Nafta" i „Szyb № 4") jest także fotogeniczna. Zrozumiał to młody i utalentowany reżyser Leon Buczkowski i na powieści Kossowskiego właśnie, dowolnie ją trawestując, oparł scenarjusz swego filmu „Szyb L. 23", o którego premjerze w Hollywood wspominaliśmy. Fascynujący temat filmu rozpalił wyobraźnię reżysera, ale jednocześnie jakgdyby skrępował go, to też realizacja, mająca doskonałe momenty, jest trochę nierówna. Ale o zaletach i błędach tego filmu i o grze wykonawców z Baśką Orwidówną, Jerzym Marrem i W. Gawlikowskim na czele pomówimy jeszcze obszerniej.

K.

„TO I OWO"

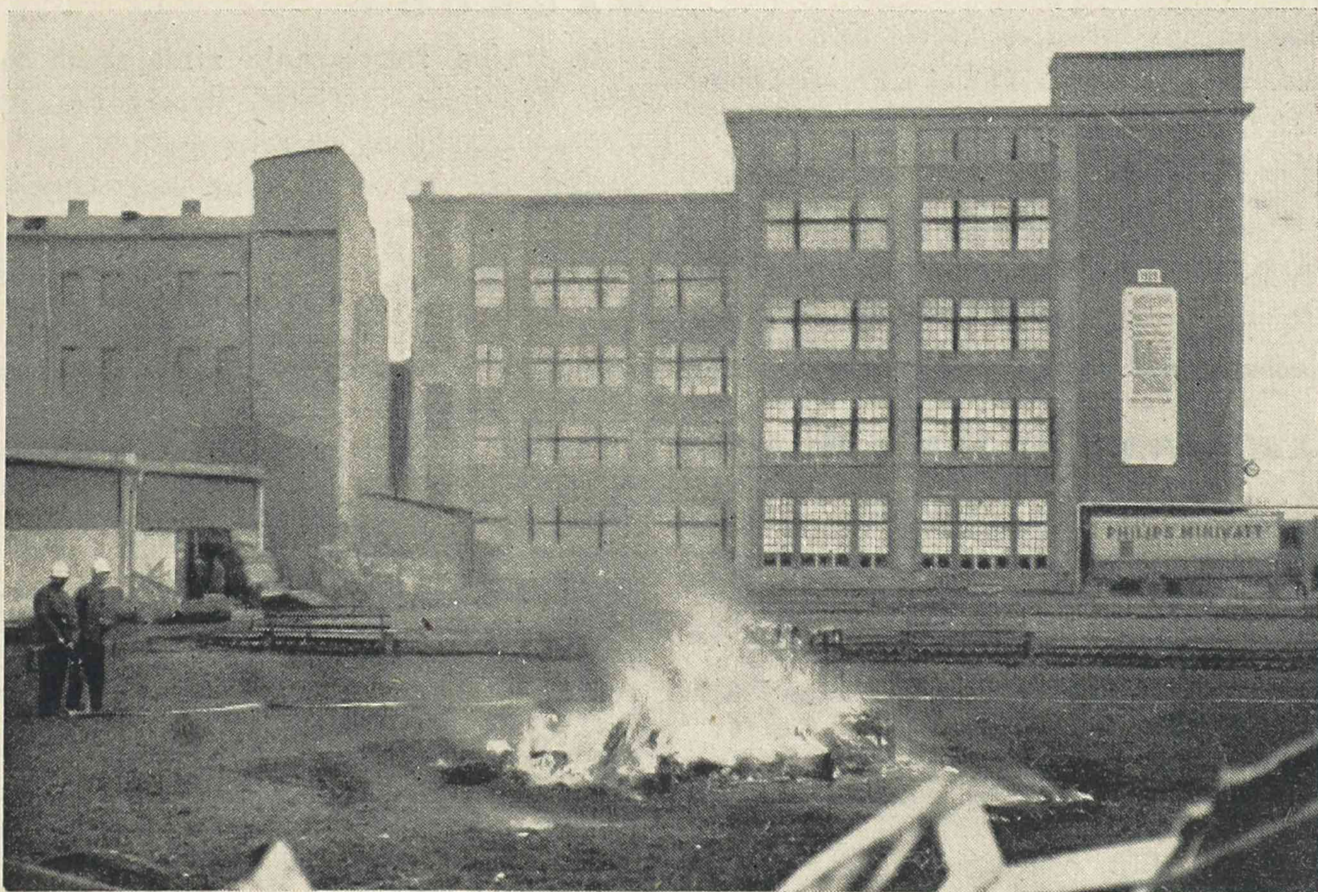
25.770 KILOMETRÓW PONAD AFRYKĄ

W rozmowach naszych tak mało zajmujemy się dzielnością, odwagą, cierpliwością, wytrzymałością i wogóle zaletami duszy ludzkiej. Warto jest trochę o tem przypomnieć, zwłaszcza, że naokoło słyszy się same narzekania. Czyż o dzielności polskiej mamy dowiadywać się od obcych?

Ukazał się obecnie pamiętnik kap. pilota S. Skarzyńskiego p. t. „25.770 kilometrów ponad Afryką". Rok temu na maszynie polskiej konstrukcji, z silnikiem również naszej produkcji puścić się miał ten pilot na zdobycie czarnego lądu. W towarzystwie por. Markiewicza przez Węgry, Grecję przedostali się do Kairu, by przez katarakty Nilu pokazać polskie barwy lotnicze w Elisabettville. Później przez Luebo-Leopoltsville, Port-Guthil pobrzeżem Atlantyckiem odwiedzili Dakar, Casablankę i stanęli znów na ziemi europejskiej w Alicante. Kilkakrotnie psuł się silnik, kap. Skarzyński nie dał się odwieść od celu. Naprawiał zepsucia, uzupełniał uszkodzenia, wrócił do Warszawy po trzech miesiącach emocjonującej wycieczki. Lot ten, jako propaganda, przyniósł dużo korzyści. Anglicy w kolonjach afrykańskich wiele dowiedzieli się o Polsce, patrząc na dzielnych naszych lotników.

Wspomnienia z tej wycieczki powietrznej czyta się z wielkiem zainteresowaniem, choć jest to właściwie raport, suche sprawozdanie. W oszczędnych tych słowach ukrył kap. St. Skarzyński wiele wrażeń i uczuć, które zniewalają dla jego wyczynu sportowego. Dzielność nie potrzebuje sztucznych reflektorów!





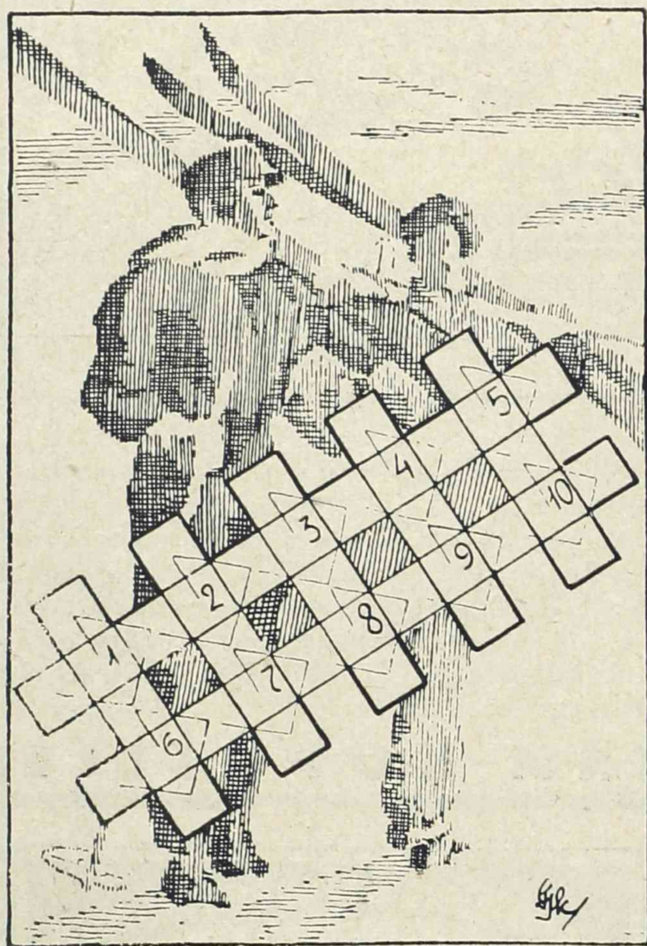
NA PODWÓRZU FABRYKI „PHILIPSA" W WARSZAWIE SPALONO NIEDAWNO KILKASET APARATÓW RADJOWYCH STARSZYCH TYPÓW, BY UMOŻLIWIĆ W TEN SPOSÓB ZATRUDNIENIE BEZROBOTNYCH PRZY NOWEJ FABRYKACJI. NA ILUSTRACJI WIDZIMY STOS WYCOFANYCH APARATÓW RADJOWYCH OGARNIĘTYCH PRZEZ PŁOMIENIE

Fot. St. Brzozowski



№ 11 (114) ZADANIE KRATOWE

(Za rozwiązanie 3 punkty).



W pola figury wstawić litery, które czytane w kierunku, oznaczonym na rysunku,utworzą 10 wyrazów o podanem znaczeniu, litery zaś w rzędzie środkowym utworzą tytuł znanej sztuki Stefana Krzywoszewskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość na Litwie, słynna bitwą, w której brał udział Sułkowski, 2. Misa, z której Chrystus spożywał Ost. Wieczerzę, 3. Przyrząd mierniczy, 4. Boginka lasów, 5. Moneta staropolska, 6. Ostra sprzeczka, 7. Święty kamień mahometan, 8. Arterja komunikacyjna, 9. Tylne łapy zająca, 10. Bajorzysko.

LAUREACI IV-go KONKURSU KWARTALNEGO

Za zdobycie największej ilości punktów w ciągu całego kwartału otrzymają nagrody następujący Uczestnicy:

1. p. inż. Józef Modrzejewski z Lublina — Jana Lorentowicza „Dwadzieścia lat teatru",

2. p. Józef Krauze z Żyrardowa — prof. Romana Dyboskiego „O Anglji i Anglikach",

3. p. Zygmunt Tietz z Warszawy — dr. Jana Magiery „Literatura czeska i słowacka",

5. p. Jan Petrych z Wronek—Fr. Siedleckiego „Helena Modrzejewska".

Nagrody pocieszenia wylosowano dla następujących Uczestników:

1. p. Marji Bugajskiej z Kłobucka — Al. Fredry „Śluby panieńskie" (wyd. wytworne);

2. p. Baltazara Sobockiego z Liskowa Kieleckiego — E. Świerczewskiego „Wojciech Bogusławski i jego scena", oraz

3. p. Tadeusza Borowieckiego z Siedlec,

4. p. Zygmunta Pierackiego z Wilna i

5. p. Kazimierza Puchowicza („Peka") z Warszawy — w postaci bezpłatnej kwartalnej prenumeraty „Świata".

NAGRODY

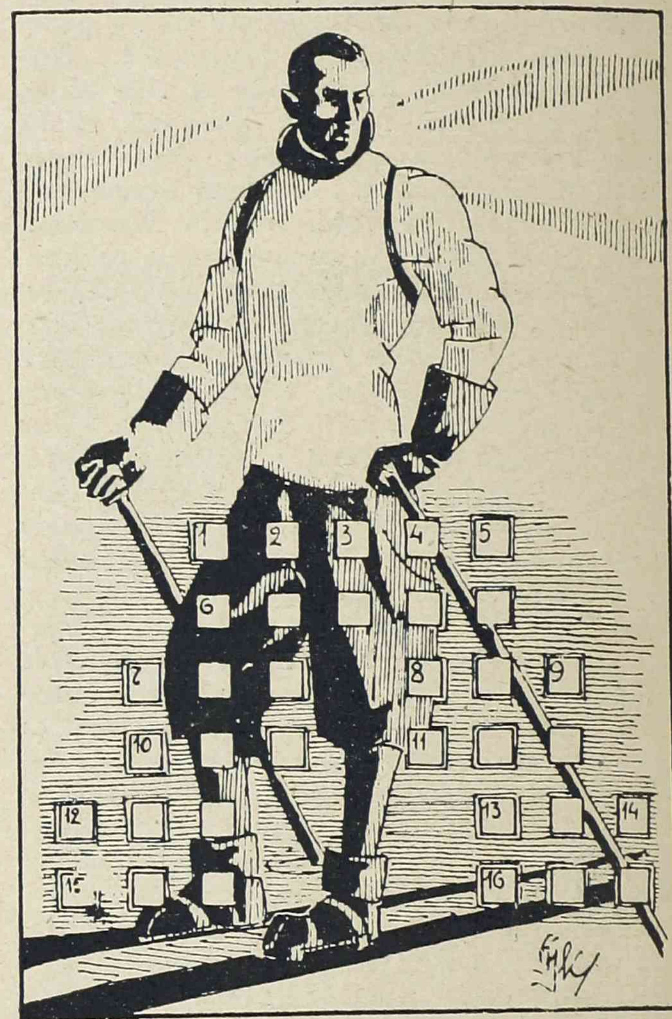
Za trafne rozwiązanie niniejszych zadań Redakcja „Świata" przeznacza następujące nagrody książkowe:

Zad. Nr. 11. — Stefana Krzywoszewskiego „Walka".

Zad. Nr. 12. — Wandy Miłaszewskiej „Pierwsza miłość".

№ 12 (115) ZADANIE ARKADOWE

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Wstawiając w kwadraciki litery, utworzyć 19 wyrazów o podanem znaczeniu, czytanych poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Inaczej: ostra, bezwzględna, 6. Miejscowość w Czechach, słynna bitwą Jana Żiżki, wodza husytów czeskich, 7. Ogród owocowy,8. Rodzaj głosu, 10. Spływający lód, 11. Imię żeńskie, zdrobniałe, 12. Kwiat, 13. Miasto w Findlandji, 15. Litera grecka, 16. Popis choreograficzny.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Trunek, 2. Wypowiadanie własnego sądu w danej sprawie, 3. Rzeka na Syberji, 4. Pustynia, 5. Góra na Kaukazie, 7 Gra w karty, 9. Imię biblijne, 12. Rodzajnik francuski, 14. Zaimek.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z № 3-go

№ 3 (106). ZADANIE HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNE: Piotrków Trybunalski, Toruń, Radom, Częstochowa, Łuck, Płock.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Bojarski Tadeusz (6), Herbstmanówna Dorota (6), Jarkowska Aurelja (5), Klimczak Roman (6), Kozłowski Czesław (6), Mikowska St. (5), Roykiewicz Wacław (4), Sławnicki Michał (6), Sapiejewski J. (5), Stratilato Jan (6), Sułkowska Leontyna (4), Tietz Zygmunt (5), Wiśniewska Teofila (3), Zagajewski Adam (4), Zborowska Teresa (5), Żukowska Irena (6) — *z Warszawy*, oraz

pp. Aleksandrowicz Jan (3) — ze Lwowa, „Annabel" (5) — z Baranowicz, Bugajska Marja (5) — z Kłobucka, Dorszewski Rudolf (4) — ze Świecia, Głaziński Aleksander (3) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (6) — z Brześcia n/B, Janicka Zofja (4) — z Grudziądza, Jasiński Wacław (2) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (4)—z Wilna, Kiersnowski Józef (5) — z Baranowicz, Krauze Józef (5) — z Żyrardowa, Lemański Zygmunt (3) — z Wilna, Ludwicki Henryk (3) — z Zagożdżona, Łobodzianka Anna (5) — z Ochli, Malinowski Stefan (4) — ze Lwowa, inż. Modrzejewski Józef (4) — z Lublina, Moszczyński Edward (2) — z Szamotuł, Pieracki Zygmunt (6) — z Wilna, Rakowiecka Helena (3) — z Lublina, Sokulski Władysław (4) — z Katowic, Sołecki Michał (5) — z Wołomina, Sosnowski Kazimierz (6) — z Katowic, Tarnowski Stanisław (4) — z Grodziska, „Tolek z Królewszczyzny" (6), Tyblewski Wacław (6) — z Poznania, Urbańska Halina (6) — ze Lwowa, Zaleski Czesław (2) — z Kalisza, Zawadzka Anna (5) — z Ciechanowa.

NAGRODY KSIĄŻKOWE wylosowano dla:

p. *Anny Łobodzianki* z Ochli — F. Siedleckiego „Helena Modrzejewska",

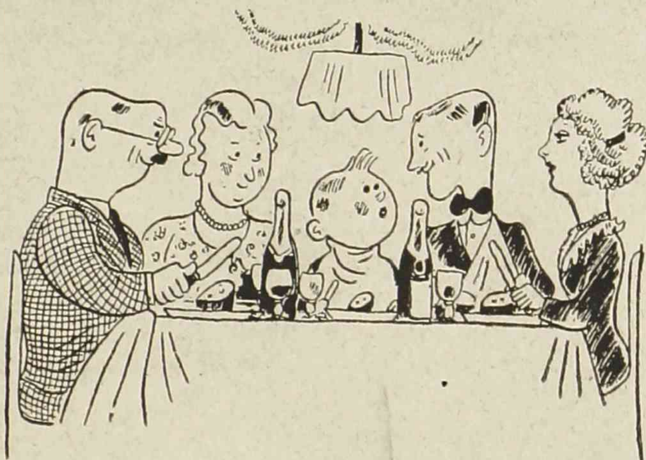
p. *Zygmunta Pierackiego* z Wilna — S. Grabińskiego „Klasztor i kobieta".

SPROSTOWANIE.

W wykazie Uczestników z Nr. 1-go opuszczono nazwiska: p. Józefa Krauze (10) — z Żyrardowa i p. Jana Petrycha (10) — z Wronek, z N-ru zaś 2-go omyłkowo zaliczono p. Michałowi Stawnickiemu z Warszawy 7 punktów, zamiast należnych 10-ciu.

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR ZAGRANICZNY



— Czy tatuś nie uważa, że moja porcja leguminy jest podobna do Europy?

— Dlaczego?

— Bo Europa jest najmniejszą z pięciu części świata.

(Tribuna)

⁂

— Mówiłeś, że nienawidzisz saksofonu, a teraz uczysz się grać na nim?

— Tak, bo bardziej nienawidzę sąsiadów.

⁂

Yankes: — Tę wspaniałą skałę wiszącą zbudowali nasi przodkowie.

Szkot: — A zna pan Morze Martwe?

Yankes: — Znam.

Szkot: — No widzi pan, to mój pradziadek je uśmiercił.

⁂

Szczęśliwe małżeństwo:

— Czemu zawdzięczacie, że jesteście tacy szczęśliwi?

— Przed ślubem zrobiliśmy umowę małżeńską: decyzja w rzeczach ważnych należy do mnie; rzeczy zwykłe, małe rozstrzyga moja żona.

— Ach, więc ten system okazał się taki niezawodny!...

— Zapewne. Dotychczas niczego nie rozstrzygałem.

⁂

Między przyjaciółkami:

— Jak czas biegnie! I pomyśleć, że jutro skończę dwadzieścia trzy lata...

— A ja za tydzień będę miała dziewiętnaście...

— Przecież jesteś odemnie o pięć lat starsza!...

— Byłam starsza. Gdy wyszłaś już zamąż — nie może ci to robić różnicy.

⁂

HUMOR

— Obraziłeś mnie, nazwawszy głupcem. Przyznaj, że żałujesz tego?

— Owszem, żałuję, że jesteś głupcem.

⁂

Doktór: — Czy dała pani choremu środek nasenny, który mu zapisałem?

Pielęgniarka: — Dałam, ale miałam dużo kłopotu, zanim się go dobudziłam.

⁂

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 1

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 19 do 25 lutego 1932 r. włącznie, z wyjątkiem niedziel, świąt, premjer i przedstawień specjalnych lub po cenach zniżonych.

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów w dniu przedstawienia biletu dla jednej osoby ze zniżką

50%

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.	Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
„ II „ 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—	Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
„ III „ 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50	Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
„ IV „ 600.—, 1/2 300.—	I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil.
Za tekstem . . . . Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—	szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60, telefon 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., kwart. 18.— zł., półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł., rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł., półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9.— zł., kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł. 40 gr.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P